

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 148·20 Marek, Półrocznie 296·40 Mk. Rocznie 592·80 Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 3 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 4·—, za wiersz nonpareilowy, jednoszpaltowy 6 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 15 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 472.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 12 Marek.

Rok XVIII. Kraków, 1. stycznia 1921. Nr 1.

Z NOWYM ROKIEM...



Od Administracyi.

Z powodu ponownego podrożenia papieru oraz wszelkich materyałów drukarsko-technicznych jesteśmy zmuszeni podnieść prenumeratę naszego pisma; nie liczymy tu na wyrównanie kosztów, ale chcąc umożliwić dalszą egzystencyę jedynego pisma illustrowanego, staramy się pokonać możliwe trudności. Licząc na wyrozumiałość P. T. Czytelników, wobec ciężkiego położenia obecnej polskiej prasy, ufamy, że nie odmówią nam dalszego poparcia.

Prenumeratę przesyłać należy wprost do **Administracyi** naszego pisma: **Kraków XV., ulica Kazimierza Wielkiego (dawniej Nowowiejska) 95** (dom własny).

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:

Rocznie	M 592 80
Półrocznie	„ 296 40
Kwartalnie	„ 148 20
Pojedynczy egzemplarz	„ 12·—

Polityczne odwiedziny w Warszawie.

Stany Zjednoczone Ameryki północnej zajęły w ciągu ostatniej wojny światowej nader wybitne stanowisko, a to głównie dzięki polityce Wilsona, która jednak, z powodu opozycyi, jaka się wytworzyła przeciw niemu we własnej jego ojczyźnie, nie mogła być konsekwentnie do samego końca przeprowadzoną, na czem może nawet najlepiej wyszedł świat cały, tak czy owak opanowany najzupełniej na każdem polu przez Stany Zjednoczone. Gdyby Wilson był się utrzymał u steru w dalszym ciągu, zależność ta stawałaby się z każdym dniem przykrzejszą i, kto wie, czy nie byłaby się przyczyniła wcześniej lub później do wywołania nowego jakiego konfliktu.

Głównym powodem niezadowolenia obywateli Ameryki północnej z polityki, reprezentowanej przez Wilsona, była Liga Narodów, mająca stać się najwyższym trybunałem światowym, mogącym wglądać w sprawy wewnętrzne wszystkich państw. A tego sobie właśnie Ameryka nie życzy, trzymając się zasady Monroe'go, że „Ameryka jest tylko dla Amerykanów", a żadna jakaś tam Liga Narodów nie ma prawa mieszać się w jej stosunki i sprawy. Tą zasadę wyznają wszyscy amerykańscy republikanie, którzy objęli po demokratach ster władzy w swe ręce.

Zmiana na fotelu prezydenta Stanów Zjednoczonych nie pociągnęła przecież zbyt daleko idących różnic w stosunku do reszty Koalicyi i wogóle całego świata. Harding oświadczył wyraźnie, że traktat wersalski musi być wykonany, pozatem jednakże dał wyraźnie do zrozumienia, że Ameryka nie myśli się bawić w żadne sentymenty, kierować się będzie tylko swym interesem i postępować tak, jak to uważa za najkorzystniejsze dla siebie. Reszta świata, dzięki następstwom wojny, poddana w zależność polityczną i ekonomiczną od Nowego Swiata, musi się, chcąc nie chcąc, z tem pogodzić, zwłaszcza, że bez amerykańskiej materyalnej pomocy nie dałaby sobie rady. Rząd Stanów Zjednoczonych zdaje sobie sprawę z położenia, wie dobrze o swej przewadze, ale jej nie nadużywa, zachowując wszelkie formy przyzwoitości, by nie dać nikomu zbyt odczuć ową zależność, bądź co bądź dla drugiej strony niezbyt przyjemną. .

A niema dziś państwa na świecie, które nie byłoby dłużnikiem Ameryki. Do nich należy naturalnie i Polska, mająca wobec stanów Zjednoczonych bardzo daleko idące zobowiązania.

Z ramienia rządu Stanów Zjednoczonych przybył w drugiej połowie grudnia do Warszawy wybitny polityk, członek senatu Mac Cormick. Celem jego podróży było rozpatrzenie się w miejscowych stosunkach, oraz omówienie z decydującemi sferami polskiemi najważniejszych spraw politycznych i ekonomicznych. Niezwłocznie po przybyciu do Warszawy odbył on konferencyę z p. Alfredem Bourgeois, przedstawicielem wielkiego syndykatu amerykańskiego. Konferencya między dwoma Amerykaninami dotyczyła spraw pierwszorzędnej wagi.

Zamiarem p. Bourgeois jest zorganizowanie wielkiego kredytu dla Polski. Kredyt ten byłby użyty na odbudowę przemysłu polskiego, oraz na udzielenie wydatne pomocy rolnikom polskim przy zasiewach i zbiorach tegorocznych.

W ciągu kilkudniowego pobytu w Warszawie przyjęty był delegat rządu amerykańskiego przez Naczelnika Państwa Piłsudskiego, konferował też z wielu wybitnemi osobistościami z naszego świata politycznego, przemysłowego i finansowego. Na cześć gościa odbył się u ambasadora amerykańskiego Gibsona galowy obiad, w którym wzięli liczny udział przedstawiciele wszystkich sfer.

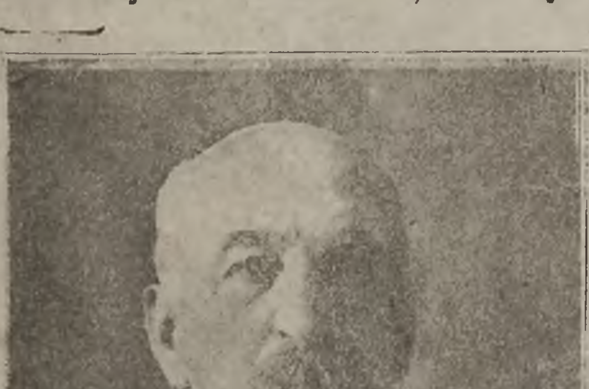


Polityczne odwiedziny w Warszawie: Konferencya Naczelnika Piłsudskiego z delegatem rządu amerykańskiego senatorem Mac Cormickiem.

Premier francuski w sprawie polskiej.

Następca Milleranda na stanowisku prezesa gabinetu i ministra spraw zagranicznych we Francyi, Leugues, po raz pierwszy od chwili objęcia swych funkcyi zabrał oficyalnie i wyczerpująco głos w sprawie polskiej, oraz stosunków jakie panują między Francyą a Polską.

Jeżeli się zważy, że Francya jest jedynym naszym choć nie bezinteresownym poplecznikiem w gronie mocarstw koalicyjnych, oświadczenie to nabiera dla nas wielkiego znaczenia, stwierdzając w pierwszym rzędzie, że, pomimo zmiany w osobie kierownika francuskiej polityki zagranicznej, kierunek jej



Premier francuski w sprawie polskiej: Prezydent francuskiej Izby deputowanych Luegues.



Przygotowania hakatystów do plebiscytu Widokówka wydana przez hakatystów pruskich przedstawiająca niemieckie dzieci, stające do obrony Śląska przed Polakami.

o ile to dotyczy wzajemnego stosunku obu państw, żadnej nie uległ zmianie.

Prezydent Leugues w Komisyi dla spraw zagranicznych francuskiej Izby deputowanych omawiając obecną sytuacyę polityczną, poruszył też i kwestyę polską. Oświadczenie to nie zostało zagranicą dokładnie podane, Prezydent ministrów ograniczył się do tego, by uwiadomić komisyę o pełnej zaufania wymianie myśli, która się zawsze odbywała między Polską a Francyą. Rząd francuski nie zaniechał w ciągu przesilenia, wywołanego ofenzywą bolszewicką zalecać Rządowi polskiemu jak największej przezorności i umiarkowania i udzielając mu równocześnie pełnego poparcia. Rząd francuski dał Polsce do do zrozumienia, że byłoby rozsądnie ograniczyć się do konsolidacyi granic etnograficznych młodej Rzeczypospolitej, zażądać od sowietów takiego samego poszanowania jej praw, jaki jest uzasadniony wobec prawa narodów i wobec własnej powagi. Nadto poleca prezydent ministrów, by Polska skoncentrowała wszystkie swoje wysiłki wewnątrz kraju celem utworzenia energicznej administracyi i zorganizowania siły finansowej.

Przygotowania hakatystów do plebiscytu.

Termin plebiscytu na Górnym Śląsku nie jest jeszcze dokładnie znany, praca przecież, aby wypadł „sprawiedliwie", wre w całej pełni. Niemcy dokładają wszelkich starań, aby, skoro już nie może się obejść bez niego, wypadł na ich korzyść. Nie żałują też w tym celu pieniędzy. Miliony marek płyną stale z Berlina na Śląsk, zużywa się je na wszelkiego rodzaju agitacyę. Po kraju snują się tysiące osobników, starających się przedstawić ludziom dobrodziejstwa, jakie ją czekają w ścisłym związku z Rzeszą niemiecką, zohydzając natomiast Polskę, która doprowadzić ich może do ruiny. Gdzie perswazye nie wystarczą, tam pomaga terror, po całym kraju organizuje się też bojówki antipolskie, zaopatrywa je obficie w broń i amunicyę.

Górny Śląsk jest dziś na wulkanie, który może lada chwila wybuchnąć, a wybuch ten radzi byliby Niemcy przyspieszyć. Prowokują też polską ludność na każdym kroku, aby ją wytrącić z równowagi, siebie zaś przedstawić jako ofiarę polskiej intrygi, co zdołałoby może przekonać Koalicyę, że kraj ten należy zostawić Niemcom, jako im słusznie należący.

To jedyne ich marzenie i cel ich pragnień. Tyle już uzyskali ustępstw ze strony Koalicyi, że nie tracą nadziei, iż uda im się ją przekonać, że to kraj niemiecki, bez którego Rzesza obejść się nie może, a sama ludność nie pragnie bynajmniej połączenia z Polską...

Na wszelki wypadek przygotowują się także i do „sumiennego i uczciwego" przeprowadzenia plebiscytu, co trzeba zrozumieć w ten sposób, że fałszują listy głosowań i legitymacye, aby do urny stanęło jak najwięcej osób „pewnych", przekonanych o niemieckości Górnego Śląska, choćby nawet przy pomocy tak wymownych argumentów, jak marki lub terroru.

Ale od agitatorów niemieckich roi się nie tylko na samym Śląsku, gdzie się ma odbyć głosowanie, ale wogóle wszędzie, gdzie przebywają uprawnieni do oddania głosów. Nie brak ich i w Galicyi, zwłaszcza u byłych Górnoślązaków, szczególnie zaś wśród niemieckich kolonistów, na naszej ziemi zamieszkałych.

Niedawno, dzięki energii posterunku policyi państwowej w Nadwórnie udało się przytrzymać takie indywiduum, które chciało się ukradkiem przedostać do Małopolski przez granicę czesko-słowacką, aby rozwinąć agitacyę plebiscytową między kolonistami niemieckimi, osiadłymi licznie w okolicy Nadwórny.

Był to niejaki Teodor Burgalowsky, rodem z Lipnicy. Znaleziono przy nim wiele fałszywych legitymacyj, uprawniających do głosowania podczas plebiscytu, oraz obfitość widokówek, mających stwierdzić, że Górny Śląsk był, jest i musi zostać niemiecki. Jedna z nich, nadesłana nam uprzejmie przez Komendę posterunku, przedstawia uzbrojone w siekiery i pałki dzieci górnośląskie i nosi wyraźny napis: „Niech widzą Polacy, że my naszego drogiego Górnego Śląska nie oddamy!...

Przed podobnymi łotrami należy się mieć pilnie na baczności i paraliżować na każdym kroku ich niecną robotę!...



Uczczenie zasług jenerała Hallera: Jenerał Haller po wręczeniu mu szabli honorowej w otoczeniu uczestników uroczystego aktu.

Uczczenie zasług jen. J. Hallera.

Rzadko który z naszych dowódców cieszy się tak ogólnem uznaniem i sympatyą, nie tylko w kołach wojskowych, ale i wśród ogółu społeczeństwa, jak jenerał broni, Józef Haller.

Na to uznanie i sympatyę zasłużył też sobie w zupełności, łącząc w swej osobie najidealniejsze zalety żołnierza i obywatela.

Wojskowy charakter nie przeszkadzał mu bynajmniej w gorliwem i sumiennem pełnieniu obowiązków obywatelskich, te zaś nie absorbują go do tego stopnia, aby to wpłynąć mogło ujemnie na jego prawdziwość rycerskiego ducha.

Jenerał Józef Haller to wzór żołnierza-obywatela, gotowego każdej chwili życie i mienie złożyć na ołtarzu Ojczyzny, bo tak każe obowiązek. Nic też dziwnego, że społeczeństwo polskie stawia go w pierwszym rzędzie między największymi swymi bohaterami narodowymi i nie szczędzi mu na każdym kroku dowodów uznania i sympatyi, na które sobie tak rzetelnie zasłużył.

Historya oceni jego zasługi, jakie położył około odrodzenia Polski od pierwszych chwil wybuchu wojny światowej, a po dobę obecną społeczeństwo polskie widzi w nim prawdziwego swego obrońcę, z ufnością też zwraca się doń w każdej potrzebie. Jak zaś seryo pojmuje on swoje obowiązki żołnierza obywatela, tego dowody złożył na polach bitew całej prawie Europy, ostatnio zaś jako naczelny dowódzca Armii ochotniczej, gdy w lecie ubiegłego roku nawała bolszewicka zdawała się nam grozić zalewem. Rycerskiego swego ducha potrafił tchnąć w te słabe dzieci, stające do walki w obronie zagrożonej Ojczyzny i uczynił z nich bohaterów, którym i liczebna przewaga oprzeć się nie zdołała.

Wdzięczne społeczeństwo polskie pragnęło bodaj w drobny sposób dać mu dowód swego uznania i miłości. Ze składek ogółu zakupiono szablę honorową i wręczono ją uroczyście bohaterowi narodowemu, uznając słusznie, że jest to jedyny odpowiedni sposób uczczenia zasług żołnierza.

Uroczystość rozpoczęła Msza uroczysta w kościele św. Jana w Warszawie. Następnie jen. Haller przybył do Rady miejskiej, gdzie odbył się właściwy akt wręczenia szabli. Uroczystość w sali Rady miejskiej dopełniły popisy „Lutni" i orkiestry załogi warszawskiej.

W najbliższym czasie, jak się dowiadujemy, ma jenerał Haller wyjechać do Ameryki. Podróż jego ma charakter agitacyjny, mianowicie ma zachęcać tamtejszą Polonię do pospieszenia z wydatną pomocą krajowi macierzystemu.

Trzeba przyznać, że wybór był trafny. Sławę swego wodza rozniẹśli po Stanach Zjednoczonych byli jego podkomendni, starania jego uwieńczy też niezawodnie pomyślny skutek.

Bankructwo polityki koalicyjnej w Grecyi.

Przed kilku tygodniami, omawiając sytuacyę w Grecyi, wywołaną niespodziewanym, tragicznym zgonem króla Aleksandra, polegając na informacyach pism francuskich i angielskich, wyraziliśmy przekonanie, że Venizelos jest prawdziwym „mężem Opatrznościowym" tego kraju, że jemu tylko ma Grecya do zawdzięczenia, iż z ogólnej pożogi światowej wyszła bez szwanku, a nawet ze zdobyczami terytoryalnemi.

Że Venizelos położył dla Grecyi wielkie zasługi, tego nikt nie zaprzeczy, ale dziś dopiero widzimy dokładnie, że ogół grecki, z kierunkiem polityki, przez niego zainicyowanym, bynajmniej się nie zgadza, dochowując zaprzysiężonej wierności swemu prawowitemu władcy, królowi Konstantynowi.

Jak wiadomo, król Konstantyn, pragnąc w cza-



Bankructwo polityki koalicyjnej w Grecyi: Polityk grecki Venizelos na wywczasach w Nicei.

sie wojny światowej zachować ścisłą neutralność, zmuszony był abdykować. Na czele wrogiej królowi partyi stał Venizelos, przedstawiciel kierunku politycznego, skłaniającego się wybitnie na stronę Koalicyi, która terytoryum greckie obrała sobie za punkt operacyi wojennych na południowym zachodzie Europy. Znaczenie Venizelosa rosło też, dzięki poparciu Anglii i Francyi, był on właściwym władcą Grecyi, zdeklarowanym zwolennikiem Koalicyi i domniemanym prezydentem republiki w Grecyi, gdyby ta zdecydowała się na zmianę ustroju państwowego z monarchicznego na republikański.



Odrodzenie kulturalne Niemiec: Budząca ogólne zainteresowanie rzeźba („Narodz'ny Ewy"; z wystawy ekspresyonistów w Berlinie.

Pokazuje się przecież, że znaczenie Venizelosa było przez prasę koalicyjną wysoce przecenione, że kierunek prawdziwej przez niego polityki nie jest kierunkiem znacznej większości greckiego ogółu.

I kto wie, jak długo byłby świat się łudził, że Grecy godzą się na politykę Venizelosa i posłusznie spełniają wolę Koalicyi, gdyby nie owa małpa — królobójczyni.

Ofiarą jej padł młody król Aleksander, ale ukąszenie jej dało się odczuć Venizelosowi. Można śmiało powiedzieć, że owa brazylijska małpa stała się powodem przewrotu w Grecyi, którego rezultatem było najzupełniejsze bankructwo polityki koalicyjno filskiej, reprezentowanej dotąd przez Venizelosa.

Król Aleksander zmarł bezpotomnie. Koalicya chciała kwestyę następstwa tronu załatwić według swych interesów i intencyi, z pominięciem byłego króla Konstantyna, przebywającego na wygnaniu poza granicami. Z ewentualnym powrotem jego na tron nikt się na Zachodzie nie liczył.

I teraz dopiero zabrał głos lud grecki i wyraził zupełnie niedwuznacznie swą wolę, aby na tron wrócił prawowity władca, król Konstantyn. Podczas głosowania stronnicy Venizelosa ponieśli tak dotkliwą porażkę, jakiej się nikt nie spodziewał, a najmniej chyba Koalicya, pewna, że Grecyę raz na zawsze silnie przykuła do swego rydwanu. Nie pomogły też próby rewolucyi tu i ówdzie bez skutku podejmowane, król Konstantyn z woli ludu wrócił w prawdziwym tryumfie na tron, z którego musiał ustąpić pod presyą mocarstw Koalicyi, aby ojczyzny nie narazić na szkodę. Venizelosowi zaś nie pozostało nic innego, jak wyjazd za granicę, „celem poratowania nadwątlonego zdrowia" i... znaczenia.

Mocarstwa Koalicyi odgrażają się wprawdzie, że nie uznają powrotu na tron Konstantego, ale i między niemi niema zgody w tym kierunku. Jedna Francya stoi dotąd stale na stanowisku nieprzychylnym dla obecnej zmiany w Grecyi. Anglia gotowa już do jej uznania „pod pewnymi warunkami", Włochy, podczas wsiadania Konstantyna na okręt, oddały mu honory przepisane.

W niedzielę przed Bożem Narodzeniem przybył król Konstantyn z rodziną do Aten, a powitanie, jakie mu ludność zgotowała, było wymownem świadectwem, że Grecya chce zostać wierną swemu królowi i jego polityce.

Odrodzenie kulturalne Niemiec.

„*Inter arma silent Musae*"... To stare przysłowie sprawdziło się zupełnie, jak się o tem sami mieliśmy sposobność przekonać w obecnym wojennym czasie, we wszystkich krajach, objętych pożogą wojenną, a nawet i neutralnych. Na polu sztuki i nauki zapanował najzupełniejszy zastój, kultura cofnęła się wstecz o całe lat setki. Jeśli umysł ludzki wysilał się w tym czasie, to co najwyżej, nad wynalezieniem nowych śmiercionośnych przyrządów, które z gruntu zmieniły dotychczasowe pojęcia o prowadzeniu wojny i zasady strategii.

Niemiecka kultura, która mimo przechwałki samych Niemców, nigdy zbyt wysoko nie stała, ale w każdym razie rozwijała się bardzo pomyślnie, zatamowaną została zupełnie w swym rozwoju. Z początku wojny, gdy szczęście zdawało się sprzyjać niemieckiemu orężowi, a umysły Wszechniemców zaprzątnięte były myślą o opanowaniu całego świata, o nauce i sztuce nie myślał nikt. Z czasem, gdy szczęście wojenne się odwróciło, miejsce poprzednich, daleko idących nadziei zajęła ogólna deprawacya, co nie mogło pozostać bez wpływu i na niemiecką kulturę. Twórczość literacka i artystyczna spadła do zera, ogół zajmowały kwestye wojenne i polityczne, oraz niepewność, jakie losy czekają niezwyciężoną, jak się przedtem wydawało, Germanię.

Z pogromu wyszła ona przecież dość szczęśliwie, ale rewolucya komunistyczna, która w kraju wybuchła, musiała oddziałać ujemnie na umysłowe całego narodu, strąconego tak niespodzianie z piedestału wielkości, na którą udało mu się wdrapać dzięki swej bezwzględności i brutalności.

Lecz i ten okres powoli przemija, stosunki zaczynają wracać na normalne tory, widoczne jest odradzanie się we wszystkich kierunkach, zatem i na polu kultury, choć praktyczny duch niemiecki dąży raczej do odrodzenia ekonomicznego.

Uczeni i artyści niemieccy są dziś jednak w daleko trudniejszem położeniu, niż to było przed wojną. Gdy Niemcy były u szczytu potęgi i sławy,



Odrodzenie kulturalne Niemiec: Szafka o dziwacznych kształtach, wystawiona w Berlinie przez ekspresyonistów.

liczono się z nimi z musu, dzisiaj przedstawicielom pokonanych daje się odczuwać niechęć, jaką cały świat żywił do niemieckiej pyszałkowatości.

W Niemczech ożywia się też powoli ruch naukowy i artystyczny, urządza się wystawy dzieł sztuki, dość sceptycznie przyjmowanych przez zagraniczną krytykę.

Rząd obecny popiera na tem polu ruch, czego dowodem, że prezydent Ebert wziął osobisty udział w otwarciu wystawy ekspressyonistów w Berlinie.

Zajęcie się nią było bardzo żywe, niektóre zwłaszcza eksponaty budziły szczególniejsze zainteresowanie. Do nich należała rzeźba „Narodziny Ewy" i jakaś dziwaczna szafka, której wartości artystycznej mógł dojść tylko ten, kto na nią patrzył „oczyma duszy". Lecz ten sposób patrzenia na dzieła sztuki jest dotąd przywilejem tylko „wybranych jednostek".



Odrodzenie kulturalne Niemiec: Prezydent Ebert zwiedza wystawę ekspresyonistów w Berlinie.

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA
MARYA TOCZYSKA

24 I.

— Poczciwy człowieku — zaczepiła go Róża, zdecydowana na wszystko — chcemy się udać do San Nicolo, czy dobrze idziemy?

Człowiek zmierzył ją od stóp do głowy.

— Oddaliłyście się bardzo od San Nicolo — same idziecie o tak późnej godzinie? — zapytał podejrzliwie.

— Mam córkę chorą bardzo — odparła żywo Róża i biegnę do niej z córką moją młodszą. Na której ulicy jesteśmy, powiedzcie nam, proszę. Zabłądziłyśmy z powodu ciemności.

— Jesteście teraz na ulicy Clementina, idźcie ciągle prosto i dojdziecie do ulicy di Borghese, stamtąd przez ulicę Condotti do Placu Hiszpańskiego i do San Nicolo.

— Oh! to daleko jeszcze — westchnęła Róża. — Odprowadźcie nas kawałek, wynagrodzimy was za to.

— Nie mogę — odparł gazownik. — Muszę jeszcze pogasić lampy w stronie campo Mario. Idźcie prędko, na następnej ulicy spotkacie może stróża nocnego.

Pożegnały go i poszły wskazaną drogą. Kiedy dochodziły do ulicy Fontanello ujrzały dwóch żandarmów, kroczących ulicą krokiem równym, żołnierskim.

— Oh! dzięki Bogu! — zawołała Róża, a Rachela niżej jeszcze opuściła kaptur płaszcza, aby nie być poznaną.

Kroki żandarmów rozlegały się głucho po bruku, mącąc ciszę nocy.

Obydwie kobiety przeszły wzmocnione trochę obecnością tych ludzi, którzy nawet nie zwrócili na nie uwagi.

Rachelę niosła tylko jedna myśl, jedno pragnienie... myśl o ucieczce z domu, pragnienie gorące, dobiegnięcia jaknajprędzej do domu, w którym mieszkał Ranieri Lambertini.

— Czy go zastaniemy Różo, jak myślisz — szepnęła do służącej, kiedy przebiegały Corso, by dojść do ulicy Condotti.

— Zapewnie, panienko. Gdzieżby mógł być!

— Czy nas przyjmie dobrze?

— On ciebie zawsze oczekuje, gołąbko.

— Musimy wyjechać natychmiast, wyjechać z Rzymu, Różo, zanim „on" nas wykryje.

— Tak, wyjedziecie natychmiast daleko, bardzo daleko — potwierdziła stara.

— Ty pojedziesz z nami.

— Nie, gołąbko. Powrócę do mojej wsi. kupię sobie tam mały domek.

— Ale ty także Różo, wyjechać musisz jaknajprędzej.

— Tak, tak, wyjadę dziś jeszcze. Ojciec twój mógłby mnie znaleźć i miałabym wiele kłopotu.

— Oh! tak! tak! wyjedziemy! wyjedziemy wszyscy! — powtarzała nerwowo Rachela.

— Hrabia będzie taki szczęśliwy! — szepnęła Róża cicho.

— Zemsta „jego" jednak pójdzie za wami wszędzie — odparła Rachela, wstrząsając się pod wrażeniem wspomnienia znienawidzonego człowieka.

Nagle zatrzymała się i wylękniona spojrzała za siebie. Zdawało jej się, że słyszy jakieś kroki i że cień jakiś przesunął się za niemi kiedy przechodziły przez Plac Hiszpański.

— Kto to jest? — zapytała Rachela drżącym głosem.

— Nikt, nikt, nie lękaj się gołąbko, chodźmy dalej — uspokajała ją Róża.

— Czyżby to był „on"?

— Kto, „on"?

— Człowiek, który jeszcze dzisiejszej nocy napastował mnie w naszym domu.

— To nie może być on. To jakiś przechodzień. Skądże on mógłby wiedzieć, gdzie my idziemy. Przecież nie zna twoich zamiarów!?

— Powiedziałam mu, że zostanę chrześcianką i zaślubię Lambertini'ego.

— Oh! nie trzeba było mu mówić tego! To była wielka nieostrożność!

— Byłam tak oburzona!

— Ale w każdym razie to nie mógł być on!

— Kto to wiedzieć może? To człowiek taki tajemniczy, czarodziej prawie.

— Nie lękaj się kochanko, nie lękaj — rzekła Róża, która sama drżała pod wpływem przerażenia.

— Gdybyś ty go znała! To człowiek zdolny do popełnienia każdej zbrodni.

— Chodźmy! chodźmy prędzej! — pociągnęła za sobą Róża młodą dziewczynę.

Kiedy biegły wzdłuż ulicy Macelli, kroki wciąż tętniały za niemi, coraz bliższe, coraz wyraźniejsze.

— Najświętsza Panno, ratuj nas! — szepnęła z trwogą Rachela.

W tej samej chwili kroki przycichły. Człowiek, który zdawał się iść za niemi, skręcił w stronę Angelo Custode.

Kiedy nareszcie, wylęknione, drżące przystanęły na Placu Barberini, lekka światłość, pierwszy zwiastun świtu ukazała się na niebie.

— Jesteśmy już na miejscu — westchnęła z ulgą Róża.

— Tak, jesteśmy już na miejscu — powtórzyła z zadowoleniem Rachela.

Uspokojone już prawie weszły w ulicę San Nicolo. Dom Lambertini'ego znajdował się zaraz z brzegu, po prawej stronie.

Brama była zamknięta. Róża zapukała energicznie. Nikt nie odpowiedział. Poczekała parę minut, poczem zapukała jeszcze silniej. I tym razem nie było odpowiedzi.

— Co to ma znaczyć? — zawołała Rachela z zaniepokojeniem.

— Portyer śpi zapewnie — odparła Róża, która odzyskała już zimną krew i energię i pięścią z całej siły uderzyła w bramę.

Rozległy się ciężkie, powolne kroki i głos zaspany zapytał.

— Kto tam?

— Przyjaciele — odparła Róża.



— Portyer śpi zapewnie — odparła Róża, która odzyskała już zimną krew i energię i pięścią z całej siły uderzyła w bramę.

— Kto?

— Przyjaciele hrabiego Lambertini'ego.

— Ah! tak! hrabiego niema w domu.

Obydwie kobiety spojrzały na siebie z przerażeniem. Tej okoliczności nie przewidziały wcale. Ale Róża nie straciła przytomności umysłu.

— Panie portyerze — zapytała — o której godzinie powróci hrabia?

— Któż to wiedzieć może — odburknął gniewnie. — On mi się nie opowiada, kiedy wychodzi z domu.

— Panie portyerze, proszę nam otworzyć! — prosiła Rachela, która drżała całem ciałem.

— Ale któż wy jesteście?

— Dwie kobiety. Proszę, otwórzcie nam!

— Jesteście szalone!... o tej godzinie? Idźcie szukać szczęścia gdzieindziej.

Rachela usłyszała, że kroki portyera oddalają się od drzwi.

— Boże! Boże! co robić — jęknęła, załamując rozpaczliwie ręce.

— Poczekajmy trochę — radziła Róża.

— Tutaj, w ciemnościach! sama? A jeżeli Ranieri nie powróci dzisiaj?

— To niemożliwe!

— Cóż my wiemy o jego życiu? o jego zwyczajach? — rzekła Rachela z lekką goryczą w głosie.

— Oh! panienko! To człowiek taki zacny i rozkochany w panience!

Ah! kto to wiedzieć może!

Róża zaczęła się rozglądać po ulicy, ale nikt nie nadchodził. W brudnym brzasku powstającego dnia ujrzała tylko dwie dorożki, przesuwające się leniwo. Powracały widocznie z dworca, od pociągu, który o tej porze przychodził z Neapolu.

— Boże! jak mi zimno! — szepnęła Rachela, otulając się szczelnie płaszczem.

Róża odważnie raz jeszcze zaczęła szturmować do bramy. I znowu rozległy się ciężkie kroki portyera i głos jego szorstki, zachrypnięty.

— Kto tam?

— Na miłość boską, panie portyerze, otwórzcie nam; jesteśmy tu same, opuszczone wśród nocy. Pan hrabia nas zna. Pochwali was jeszcze kiedy powróci — błagała Róża.

Z tamtej strony bramy doszło niewyraźne jakieś mruknięcie. Widocznie portyer był już napół przekonany.

— Proszę otworzyć okienko — podjęła dalej Róża, która szukała różnych argumentów, aby przekonać surowego cerbera. — Przekonacie się, że jesteśmy tylko dwie kobiety, same. Chodzi o rzecz bardzo ważną, panie portyerze, o rzecz, którą hrabia interesuje się bardzo.

Słowa Róży nie były próżne, po chwili rozległ się zgrzyt odsuwanego rygla, małe okienko w bramie otworzyło się i wyjrzała przez nie brodata, zaspana twarz portyera. Podejrzliwem spojrzeniem zmierzył obydwie kobiety.

— Ale co wy chcecie właściwie? — zapytał ostro.

— Portyerze — przemówiła Rachela drżącym głosem. Umieramy tu z zimna i trwogi. Pozwólcie nam chociaż schować się w bramie. Będziemy tam chociaż zabezpieczone przed wichrem i złemi ludźmi.

— Ale czy wy jesteście naprawdę znajome hrabiego? — zapytał jeszcze z resztą wątpliwości w głosie.

— Przekonacie się, przekonacie, kiedy hrabia powróci — szepnęła Róża, uśmiechając się słodko.

Portyer rozbrojony uchylił drzwi i wpuścił obydwie kobiety. Pozostały w bramie, nie śmiejąc posunąć się dalej. Racheli łzy zabłysły w oczach, oparła się bezsilnie o mur, patrząc trwożnie przed siebie.

Portyer rozpogodzony już trochę, przyglądał się jej uważnie. Jakiś ważny powód musiał popchnąć te kobiety do szukania schronienia wśród nocy w tym domu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

M. STAWISZ.

GORĄCZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ

27 I.

— Kraków, to taka prowincyonalna dziura — myślał, zaciągając się dymem doskonałego cygara, — człowiek kichnie, a na drugi dzień całe miasto wie już o tem! A przecież mnie się należy trochę rozrywki, dosyć się już naharowałem, niechże teraz użyję choć trochę.

Najwięcej go zaciekawiały nocne kabarety, o których tyle się nasłuchał od Rudzkiego, starego bywalca i konesera wybrednych zabaw męskich. A że od najmłodszych lat Gawlik nie mógł sobie pozwolić nawet na porządną kolacyę poza domem i najskromniejszą znajomość uboczną, tem bardziej teraz, kiedy już nic nie stało mu na przeszkodzie, zapragnął całą duszą zakosztować tych wszystkich tajemniczych uciech, o których dotąd marzyć w cichości mu było tylko wolno.

Kiedy pociąg nad ranem gwiżdżąc i dysząc kłębami pary, wpadł na dworzec w Warszawie, Gawlik był tak oszołomiony przeżytemi nocnemi nadziejami i zamięszaniem, panującem wokoło, że nie zauważył, iż dwóch mężczyzn w towarzystwie szykownie ubranej kobiety, oczekiwało już na niego.

Dopiero gdy jeden z nich podszedł do niego i ujął go za ramię witając go radośnie, Gawlik cokolwiek oprzytomniał.

— A to pan, panie Herman — zawołał, uradowany ze spotkania. — Dobrze, że pan tu jest, bo nie wiem, co mam robić ze sobą... ta nieprzespana noc... obce miasto...

— Wszystko już dla pana przygotowane i zamówione, panie Gawlik, — odparł uprzejmie wysoki, szczupły brunet o wybitnym semickim typie. — Nie chciałem, aby pan narzekał na gościnność naszą w Warszawie i z przyjacielem i moją żoną sam przyszedłem powitać pana zaraz na wstępie. Iza — pan Gawlik, mój serdeczny przyjaciel i znajomy z Krakowa, — zwrócił się do młodej kobiety, obserwującej pilnie zdaleka Gawlika.

Gawlik był wniebowzięty. Ledwie wyszedł z pociągu, a już miał sposobność poznać jedną z tych szykownych, osławionych Warszawianek, o których się tyle nasłuchał. A ci agenci! Co za uprzejmi, znający lepsze zwyczaje ludzie! Z takimi, to aż miło robić interesa. — Uśmiechając się, jak mógł najwdzięczniej, uścisnął małą, odzianą w wytworną rękawiczkę rękę młodej kobiety i przywitał się ze wspólnikiem pana Hermana, grubym, rysawym blondynem.

— Zamówiłem dla pana pokój w Brystolu — oznajmił pan Herman, biorąc go poufale pod ramię i prowadząc do wyjścia. — Będzie tam panu doskonale. Tam zajeżdżają tylko ludzie z najlepszej sfery towarzyskiej. Ty, Emil, zajmij się rzeczami pana, a my wyjdziemy poszukać doróżki. Odwieziemy pana Gawlika do hotelu, a potem pójdziemy razem na dobre śniadanie.

— Chciałbym się trochę przebrać, — wtrącił Gawlik, zażenowany tylu dowodami uprzejmości — bo w tej tualecie, w towarzystwie dam...

— Oczywiście, oczywiście — zaśmiał się dobrodusznie pan Herman. — Obok swojego pokoju ma pan tam gabinet do przyjmowania gości, więc tam poczekamy z Izą, aż się pan odświeży i wyelegantuje. Poświęcamy już ten cały dzień dla pana, bo przecież nie możemy pana puścić samego, skoro pan miasta nie zna. Jeszcze by pan wpadł w jakieś niepożądane ręce, bo o to w dużych miastach nie trudno.

W jakiś czas więc później Gawlik w nowym garniturze od najlepszego krawca w Krakowie, świeżo ogolony, odmłodzony, z błyszczącemi nerwowem podnieceniem oczami, rozkoszował się w towarzystwie uprzejmych swoich znajomych, doskonałem i wybrednem śniadaniem w jednej z najbardziej osławionych restauracyj warszawskich.

Humory wszystkich były doskonałe, podtrzymane bezustannie starem, ciężkiem winem, które do reszty upoiło Gawlika.

Po śniadaniu, którem nie mówiono wcale o interesie, który go sprowadził do Warszawy, Gawlik, odprowadzony przez swoich usłużnych przyjaciół, udał się do hotelu, aby odpocząć trochę przed obiadem, który miał ich znowu połączyć razem.

Przy pożegnaniu pani Iza, tak znacząco i czule uścisnęła jego rękę, że Gawlik, rozgorączkowany już dostatecznie obfitem śniadaniem, uczuł, że zaczyna się z nim dziać coś niezwykłego. Krew gorącą falą buchęła mu do skroni, mgła jakaś przebiegła przed jego oczami i gdyby nie obecność towarzyszów, nie odstępujących go na krok, byłby bez namysłu pocałował w ramiona tę piękną kusicielkę, wabiącą go płomiennym wzrokiem czarnych oczu i uśmiechem mocno czerwonych ust, wzywających pocałunku.

— Ah! psiakrew! — westchnął ciężko, kiedy się znalazł sam, w hotelowym pokoju. — Rudzki miał słuszność! Te Warszawianki to istne szatany. I w stuletnim starcu krew by rozpalić potrafiły! Ta pani Iza wcale nie wydaje się być cnotą nie do zdobycia. Żebym to mógł choć na chwilę uwolnić się od tych jej aniołów stróżów. Ubiłbym w Warszawie od jednego razu dwa doskonałe interesa.

Tymczasem Gawlik, wzdychając coraz cięższej i pryskając jak koń, zanurzył całą głowę w miednicy pełnej zimnej wody, bo czuł, że wino wypite przy śniadaniu i ogniste spojrzenia pani Izy, doprowadzić go mogły do niepożądanej w tych warunkach migreny i zakłócić nastrój wieczorny, po którym wiele sobie obiecywał.

Obiad przeciągnął się bardzo późno. Pani Iza, która spóźniła się na oznaczoną godzinę, przyszła w towarzystwie przyjaciółki swojej, młodej rozwódki, bardzo wesołej, zdradzającej wiele temperamentu i sprytu.

W gabinecie, zamówionym już poprzednio przez usłużnego pana Hermana, ogłuchnąć można było od wesołych wybuchów śmiechu, głośnej rozmowy i strzelających co chwila korków od szampana.



Zamglonemi oczami wpatrywał się to w jedną, to w drugą sąsiadkę.

Gawlik, którego dwugodzinna drzemka po śniadaniu przyprowadziła trochę do równowagi umysłu, teraz znowu zaczął zapadać w stan oszołomienia, dochodzącego chwilami do zupełnego zaniku przytomności.

Zamglonemi oczami wpatrywał się to w jedną to w drugą sąsiadkę, bo zaraz na początku obiadu umieszczono go pomiędzy obydwiema paniami i plótł niestworzone rzeczy, podniecany głośnymi wykrzyknikami słuchających i kieliszkami wina, które bez miary wchłaniał w siebie. Raz tylko jeden, przy deserze, pod naporem trzeźwiejszej jakiejś myśli, zapytał siedzącego naprzeciwko niego pana Hermana o stan wspólnych ich interesów, ale ten zbył go dobrodusznym, uspokajającym uśmiechem i słowami:

— Ależ kochany panie, na wszystko czas mieć będziemy! Niechże pan sobie teraz nie nabija głowy interesami. Dziś dzień poświęcony jedynie zabawie, aby godnie uczcić przybycie kochanego pana do Warszawy — a jutro zabierzemy się do spraw poważniejszych.

— Ale ta sacharyna jest jeszcze do nabycia — zapytał, wytrącony trochę z równowagi tą odpowiedzią Gawlik.

— Ależ oczywiście, oczywiście, ile tylko pan zechce. No, nieprawda, Emil, że pan Gawlik wspaniale zarobić na tej sacharynie może.

— Wiadomo, — uśmiechnął się drugi wspólnik, który dotąd mało rozmawiał, lecz za to jadł i pił za trzech. — Pan tu zrobi taki interes, jaki jeszcze nikt nie zrobił.

— A to pozwolenie na przywóz, — zahazardował jeszcze Gawlik — bo wiedzcie panowie, nie chciałbym wpaść w jaki konflikt z władzami. U mnie interes musi być czysty i pewny.

— Oh! o to, niech się pan nie niepokoi — pośpieszył z gorącem zapewnieniem pan Herman. — Wszystko jest już przygotowane, w porządku, towar tani, pozwolenie, tylko portfel wyjąć i zapłacić. Przecież pan wie, że pan ma ze solidnymi kupcami do czynienia.

— Ah! moi panowie — wtrąciła się z grymasem zniecierpliwienia pani Iza, pochylając nisko ulokowaną głowę w stronę Gawlika — któż mówi o interesach przy kobietach!

— I przy tak pięknych jeszcze — szepnął zupełnie już rozbrojony Gawlik, całując ją czule w rękę. — Ma pani słuszność! Należy się nam porządna bura od pań za ten nietakt! Ale naprawimy to zaraz!

Uniósł kieliszek do góry i zawołał z gorącem przejęciem, patrząc w zalotne oczy swojej sąsiadki.

— Na zdrowie najpiękniejszych z Warszawianek!

I tak był pod wrażeniem chwili, że nie zauważył ironicznych uśmiechów i porozumiewawczych znaków, zamienionych pomiędzy panem Hermanem a piękną panią Izą, ani rzuconych szeptów słów przez jej przyjaciółkę, rudowłosą Melę, w stronę milczącego zawzięcie drugiego wspólnika.

— No, ten to już gotów! Będzie z nim łatwa sprawa!

Słowa te przyjął pan Herman głośnym wybuchem śmiechu, zacierając z zadowoleniem ręce, na których lśniły ciężkie pierścienie z bryljantami.

— Musimy ułożyć teraz dalszy nasz program — odezwał się po chwili, obejmując znaczącem spojrzeniem panią Izę. — Co robimy resztą wieczoru? Wartoby jeszcze pójść się gdzie zabawić, jak pan myśli, panie Gawlik. Nie uchodzi nawet w Warszawie iść spać o zbyt wczesnej godzinie.

— Oczywiście, oczywiście — przytakiwał Gawlik, który mało co rozumiał z tego, co do niego mówiono. — Ja się zgadzam na wszystko! W takiem miłem towarzystwie, to choćby do piekła!

— Idźmy jeszcze do „Czarnego Kota“ — zaproponowała pani Iza. — Pan nie zna jeszcze kabaretów warszawskich — prawda? Warto widzieć. Będzie pan miał o czem opowiadać za powrotem do Krakowa.

(Ciąg dalszy nastąpi)

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłomaczenie z angielskiego Marji Staraszewskiej.

TOM I.

20

Przewróciła się znowu na poduszkach i wysunęła ramiona, poczem przyłożywszy ręce do twarzy, uczuła, że ma policzki rozpalone. I przypomniała sobie, jak dawno temu, jako młoda mężatka, leżała kiedyś w nocy, obudzona i uczyniła ten sam ruch. To było wkrótce, po spotkaniu człowieka, dla którego się rozwiodła, który zrujnował jej towarzyskie życie. Czy życie powraca w swoje ślady? Przypomniała sobie gwałtowną i porywającą radość tej tajemnej miłości, która, ostatecznie, została zrzuconą w pył na widok całego świata. Czy uczuje taką radość znowu? Czy było możliwem, żeby ją czuła?

Czy była do tego zdolna po wszystkiem, co przeszła w życiu?

Wiedziała, że jest zdolna i obawa jej była połączona z uczuciem tryumfu, gdyż czuła, że z latami zdolność jej do odczuwania tego, co było dla niej radością, nie zmniejszyła się, lecz wzmogła. I to uczucie wzmożenia, dawało jej wrażenie młodości.

Nawet Nigel powiedział: „rozkwitasz tutaj". Nawet on, którego tak łatwo i zupełnie oszukała, widział w niej jasno tę prawdę.

Kiedy powróci z Fayum, żeby z nią pozostać, lub co prawdopodobniejsze, zabrać ją tam z sobą?

Głosy, które ją dochodziły daleko z Nilu, umilkły. Noc w końcu ukołysała śpiewaków i ułożyli się do snu, pod płaszczem milczenia. Lecz Mrs. Armine leżała wciąż z otwartemi oczami.

Kiedy Nigel przyjedzie, żeby ją zabrać do namiotu w Fayum, co wtedy? Nie będzie teraz o tem myślała, lecz pójdzie za swym temperamentem. Miała przed sobą dwa tygodnie wolności, ona, która ją posiadała przez tyle lat, teraz miała tylko dwa tygodnie. Użyje ich, jak można najwięcej. Nie będzie się zajmowała niczem, tylko chwilą obecną. Wyciśnie, wyciśnie złoty sok, zawarty w teraźniejszości.

Namiot w Fayum — może go nigdy nie zobaczy, może nigdy nie wyjdzie z Niglem, w nocy, słuchać egipskiego Pana, nad wodą.

Nie — na pewno usłyszy jutro śpiew Barondi'ego, na pewno będzie mogła jutro patrzeć na niego, jak będzie śpiewał.

Wsunęła ramiona do łóżka i gorączkowo okryła się kołdrą.

Musi spać, gdyż jutro twarz jej nosiłaby ślady bezsennej nocy, a Barondi wpatrywał się w nią, śpiewając.

Znowu chwyciła ją bojaźń.

XVIII.

Następnego poranku, późno, zbudziła się w Mrs. Armine kobieta, która przez długi czas zdawała się być pogrążona w letargu, kobieta, która przed laty zaryzykowała swą opinię dla miłości więcej fizycznej niż moralnej, i kiedy ruina ją otoczyła, puściła wyzywająco wodze złej stronie swojej natury.

Dopiero, po przebudzeniu w tym nowym dniu, całkowicie pojęła długi swój wysiłek, który ją zmęczył i rozdrażnił jej nerwy i usposobienie. Dla pozyskania męża, grała rolę, a po uzyskaniu go, nie wychodziła z tej roli. Komedya, którą odgrywała do tej pory, nie wydawała się jej trudną, pomimo, że były chwile, kiedy namiętnie pragnęła okazać się taką, jaką była w rzeczywistości. Lecz teraz, po spędzeniu kilku godzin z człowiekiem, który odczytywał ją właściwie, nie pragnął w niej żadnej moralnej piękności, żadnego wysiłku cnoty, ani żalu za swe dawniejsze postępki, uczuła ciężar jarzma, które nosiła i zapłonęła gwałtowną chęcią odwetu. Znajdowała, że los był jej ciężko dłużnym i postanowiła, że musi jej spłacić ten dług do ostatniego grosza.

Uwolniona z krępującej ją obecności męża, i z ciężaru jego ustawicznego, chociaż ukrytego poszukiwania moralnej nagrody, której nigdy nie byłaby w stanie mu dać, cała jej natura zdawała się gwałtownie powstawać.

W ciągu dni, które bezpośrednio nastąpiły, czuła się więcej sobą samą, niż kiedykolwiek przedtem, i doznawała dziwnego, prawie dzikiego wrażenia ulgi, którą czasem odczuwają ludzie Zachodu, kiedy się stykają z gorącem, subtelnem barbarzyństwem Wschodu, Wschodu, który żadnych pytań nie zadaje, i który opuścił „dlaczego?" w swoim słowniku.

Barondi był tak zupełnie pozbawiony wszelkich skrupułów, jak przeciętny, dobrze urodzony Anglik jest niemi przepełniony. Bezwątpienia, musiał mieć swój kodeks, którego się trzymał w postępowaniu ze swymi współwyznawcami, lecz ten kodeks wydawał się być zupełnie biernym, kiedy chodziło o stosunki z ludźmi innej rasy i wiary.

Mr. Armine była kobietą, a więc w jego oczach stała na niższym poziomie niż on sam. Pomiędzy przymiotami, jakie posiadał w oczach Mrs. Armine, bezwątpienia nie na ostatniem miejscu stał jego brak szacunku dla kobiet, jako kobiet. Ogólnie przyjętem zdaniem o kobietach jest, że jakkolwiek niskoby która z nich upadła, nie opuszcza jej nigdy skryte pragnienie być szanowaną przez mężczyznę. Czy Mrs. Armine podzielała to pragnienie, czy nie, jedno jest pewnem, że jej mąż miał dla niej szacunek, który ona nosiła jak kajdany; Barondi nie miał dla niej żadnego szacunku, a ona nosiła ten brak jakby kwiat. Przy zwiedzaniu Lonlii, odczytując, jak to często kobiety czynią, charakter człowieka z przedmiotów, któremi dobrowolnie się otoczył, Mrs. Armine odrazu chwyciła pewne rysy jego usposobienia, które w zwykłem z nią obcowaniu mógł łatwo ukryć. Obok przenikliwości, subtelności, kompletnego braku skrupułów, zuchwałości, jakkolwiek pozornie ogładzonej grzecznością, lecz w istocie twardej i zimnej, jak stal, była w nim naiwność, nieledwie chłopięca prostota, zdumiewająca, nieucywilizowana naturalność, które tem bardziej pociągały, że były nieoczekiwane. Człowiek, który kupił zegar z kukułką, umieścił pozłacaną kulkę w fontannie, który zakłócił harmonię przyćmionych barw, zawieszając kotarę pomarańczowo-ognistego koloru, zdającą się odbijać dzikie błyski jego natury, szedł ręka w rękę z afarzystą, zmysłowym marzycielem, subtelnym dyplomatą. Połączenie takie było dość dziwne, chociaż nie stanowiło wyjątku w krainie słońca. Odpowiadało ono zamiłowaniu nowości w Mrs. Arminie, dając jej poznać, że pomimo jej doświadczenia życiowego z mężczyznami, istniała jeszcze *terra incognita*, na której mogłaby postawić nogę; a chociaż nie dbała o dzieci, nie pragnęła nigdy mieć dziecka, była przekonaną, że lubiłaby pieścić jego dziecko, bawić się z niem i opiekować. Obawiała się Barondiego, a jednocześnie śmiała się do niego. Chwilami wydawał się jej przezroczystym, jak szkło, chwilami znów czynił wrażenie skały, pogrążonej w ciemnościach nocy. A on nigdy nie dbał o to, czy ona patrzy przez szkło, czy stoi przed nieprzeniknioną skałą.

Nigdy, ani na chwilę, nie zdawał się zważać na to, co ona o nim myśli. I absolutny jego egoizm wywoływał szacunek jej egoizmu, była zmuszona przyznać, że posiada jej przymioty, lecz w stopniu mężczyzn, świetniejszym, w połączeniu z czemś tajemniczem, co wypływało może z jego rasy.

Każdego dnia Hanza, modlący się poganiacz osłów, oczekiwał na nią na jakimś umówionem poprzednio miejscu, po zachodniej stronie rzeki, a Ibrahim jej towarzyszył i uśmiechał się łagodnie, trzymając różę w rękach.

Daleko, na rzece, pomiędzy Arnaut, a pomiędzy pomarańczowemi ogrodami Barondi'ego stała na kotwicy Lonlia, i każdego dnia, Barondi na swej białej łodzi, płynął w dół rzeki, żeby się spotkać z europejską kobietą. Towarzyszył mu tylko wysoki Nubijczyk Aujont. Turyści, którzy przyjeżdżają do Luksoru, rzadko kiedy przekraczają pewne, określone granice. Dnie ich upływają na brzegu rzeki, pomiędzy wsią a Tebami, wśród świątyń i grobowców na zachodniej stronie, albo w Karnaku świątyni Luksoru, w sklepach starożytności, lub w cieniu lasków palmowych obok brunatnych domów Karnaku i minaretów Luksoru. Kto wymknie na północ Kurna, na południe Medinat-Habu, lub na wschód, góry zamykające Arabską pustynię, usuwa się z przed oczu ludzkich i plotek.

Barondi i Mrs. Armine spotykali się na terytoryum południowem, czasem pomiędzy górami, czasem w dolinie, lub pod cieniem posadzonych rzędami drzew pomarańczowych.

Kiedy Mrs. Armine opuszczała rano brzeg rzeki u stóp ogrodu, nie pytała się Ibrahima dokąd ją zawiezie; wsiadając na osła, nie zadawała żadnego pytania Hanzie. Oddawała im się w ręce, pozwalała się wieźć, jak pierwszego dnia swej wolności.

Jak pierwszego dnia swej wolności! Wkrótce zapytała siebie, czy wiara Islamu nie jest w części prawdziwą i dla tych, którzy poza nią stoją. Lecz miała często wrażenie nieograniczonej wolności, myśląc o przestrzeni, która ją dzieliła od Feyum, nie widząc oczu, które ją prosiły o dary, nie słysząc głosu, który błagał dla niej o błogosławieństwo.

I tak przyciskała czasem do łona widmo wolności, w radosne, pogodne poranki, kiedy Ibrahim przychodził jej oznajmić, że czas wyjechać, i słyszała śpiew wioślarzy na feluce. Jeżeli jej przeznaczenie przywiązane u szyi, były chwile, że o tem zapominała, czując w sobie siły młodości, i myśląc o kobiecie, która pewnego dnia siedziała w gabinecie konsultacyjnym Meyera Iseacsona, jako o zupełnie obcej osobie, z którą nic ją nie łączyło.

Lecz pomimo, że Mrs. Armine w tych dniach swej wolności, jak je nazywała, miała chwile rozradowania, miewała także chwile przygnębienia. niepokoju, zastanowienia się nad przyszłością; chwile te bywały tem częstsze, im lepiej zaczęła pojmować swoją naturę. Nigdy nie przypuszczała, że może rzeczywiście dbać o jakiegoś mężczyznę, dbać z zapałem, z siłą, która pociąga za sobą pragnienie posiadania, nie skutkiem kobiecej próżności, lub chciwości, lecz skutkiem jakiegoś daleko głębszego uczucia. Nie wyobrażała sobie nawet, że w średniej epoce swego życia, może nastąpić także zmartwychwstanie. Starała się nieraz oszukiwać siebie, że odpowiedzialnym jest za tę zmianę jest Egipt. I patrzała na potężne ramiona Barondi'ego, a on widząc jej wzrok, zrozumiał ją lepiej, niż ona chciała być zrozumianą.

A. Mahmond-Barondi? Czy odgrywał się jakiś dramat za tą silną, zagadkową powierzchnowością, którą wystawiał na widok świata i tej kobiety?

Mrs. Armine nieraz nad tem się zastanawiała, i nie mogła dojść do stanowczego wniosku. Wiedziała o nim bardzo mało. Pomimo, że dość często mówił o sobie w każdem spotkaniu, wracała do willi z umysłem nie wolnym od pytań. Była z nim dziwnie swobodną i naturalną, ponieważ nie prosił ją o nic, czego by dać nie była wstanie. Lecz mężczyzna wschodni nie czyni zwierzeń kobiecie zachodniej, a sposób jego myślenia jest inny niż sposób myślenia mężczyzn zachodnich.

Na Hohenzollernie Barondi bezwątpienia uplanował sobie widywać się z nią, jak teraz się widywał. Nie powiedział jej, lecz była tego pewną. Czy nie wiedziała o tem na statku? Jak wiele w zamienionych spojrzeniach było pytań i odpowiedzi!

Pomimo swego życiowego doświadczenia, mówiła sobie, że nie wiedziała. W samym Barondi'm, w jego postępowaniu z nią było wiele, czego mogła nie wiedzieć.

Coś jednak o nim wiedziała. Ojciec Barondi'ego był bogatym turko-egipcyaninem. Matka, była piękną Greczynką, która przyjęła islam, kiedy jego ojciec w niej się zakochał i zaproponował jej małżeństwo. Zamknęła się w haremie i tam umarła, pozostawiając tego jedynego syna.

Turko-egipcyanie są z reguły bardziej czynni, despotyczni, może bardziej chciwi niż czystej krwi egipcyanie. W czasach przed protektoratem angielskim zajmowali ważne stanowiska pomiędzy rządzącą klasą Egiptu. Napełniali swe kieszenie łupiąc podwładnych z niemiłosiernością charakterystyczną u ludzi wschodnich. Przyszli Anglicy i położyli tamę ich niszczycielskiej grabieży. I do dziś dnia w sercu turko-egipcyanina sympatya jest o wiele rzadszą niż nienawiść do Anglika. W naturze turko-egipcyanina spotyka się nie rzadko coś, bardziej zbliżonego do natury Anglika, niż w naturze czystej krwi egipcyanina.

Barondi wychował się w atmosferze anglofobii. Jego ojciec, choć bardzo bogaty, stracił swe znaczenie przez anglików. Posiadał dawniej władzę, musiał się z nią pożegnać. Sposobność do grabieży została mu spokojnie odjęta przez ludzi, noszących helmy zamiast turbanu i których, uznając, że niema boga prócz Boga, nie uważali Mahometa za jego proroka. Nienawidził więc Anglików i nauczył swego syna ich nienawidzieć, lecz nie ostentacyjnie, nie głośno. (C. d. n.)

Kronika tygodniowa

Rok 1920 należy już do przeszłości... Kronikarz żegna go wprawdzie w ostatnich jeszcze jego przedśmiertnych podrygach, ale, z konieczności, która się nazywa „wołaniem drukarni o skrypt...“, stawia się przecież w położeniu, jak gdyby jego rachunki były już ostatecznie zamknięte. Przez te dwa lub trzy dni, jakie go dzielą jeszcze od Nowego Roku, zajść może wprawdzie bardzo wiele, może nawet przyjść koniec świata, ale... numer nie może się spóźnić, gdyż Czytelnicy, a zwłaszcza Czytelniczki, giną z ciekawości, czy Markus Henner z „Uciętej ręki“ postawi na swojem, jaki też los czeka zacną rodzinę państwa Gawlików.

Zatem, jak już zapowiedział w poprzedniej kronice, składa przedewszystkiem P. T. Czytelnikom (Prenumeratorzy mają pierwszeństwo!...) swe serdeczne życzenia, które w treści swej nie różnią się niczem od wigilijnych, zatem powtarzać ich nie trzeba. Kto dożył końca roku, ten się może uważać za szczęśliwego, kto tego momentu nie doczekał, sam sobie winę musi przypisać.

Pokazuje się, że miał racyę swojego czasu pan fizyk miejski, ogłaszając dziesięcioro sanitarnych przykazań, nakazujących tępienie pcheł i pluskiew, sypianie w zimnym pokoju (przewidział katastrofę węgiową!...), pijanie tylko wody (nie wiedział zatem, że na Podgórzu powstanie fabryka wódek, na której czele stanie jeden z wiceprezydentów miasta...). Przykazanie dziesiąte powiada: „Mimo przeciwności, nie upadaj nigdy na duchu“.

I widocznie obywatele „rozszerzonego serca Polski“ wzięli sobie do swego skurczonego od kłopotów i zmartwień serca tę ojcowską radę, skoro, pomimo tylu przeciwności, na jakie byli w ubiegłym roku narażeni, mogli doczekać jego końca, żegnać go w „Sylwestrowy wieczór“ i witać następcę, który, jako rok zwykły, nie przestępny, będzie krótszy o cały jeden dzień.

Dziś, zastanawiając się nad dziejami minionego roku, zadajemy sobie przedewszystkiem pytanie, jaki mu się właściwie należy tytuł. Jeden kalendarz zwie go „Pańskim“, choć był dziadowskim, drugi „przestępnym“, najwłaściwszem przecież dlań mianem byłoby słowo „kartkowy“. Takiego bowiem roku, jak ś. p. rok 1920 (świeć Panie nad jego duszą kolorowemi latarniami!...), dotąd jeszcze nie mieliśmy. Za czasów austryackich wprowadzono kartki na pobór artykułów, niezbędnych do życia, i, trzeba przyznać, wydawano je dość regularnie. Obecnie jednak zmieniły się widocznie zapatrywania, i czynniki decydujące doszły do przekonania, że n. p. jedzenie to jest zupełnie głupi, zacofany i niepotrzebny wynalazek i dla porządku wydają wprawdzie karty na pobór mąki, chleba, cukru, węgli i t. d., ale na te urzędowe cedułki nic dostać nie można. Trzeba się cieszyć ich posiadaniem i płacić jeszcze za ich wystawienie.

Kto lekkomyślny, ten podarł kartki w przystępie irytacyi, kto jednak jest tak zrównoważony jak kronikarz, ten je chował, w tej myśli, że i one przecież na coś się zdadzą, skoro, jak powiada mędrzec Pański, „nic w naturze nie ginie“. I kto tak postąpił, ten wyszedł na tem dobrze. Onegdaj sprzedał kronikarz handełesowi worek niezrealizowanych tegorocznych kartek i uzyskał za to przy dzisiejszej drożyźnie papieru, okrągłe pięć marek, za które wprawdzie czarnej perły nie kupi dla Weroniki (mógłby ją zresztą ktoś niepowołany ukraść... naturalnie perłę, nie Weronikę... choć i ona jest perłą między kobietami, ale nie czarną...), może się natomiast zaopatrzyć w dwa pudełka zapałek i jeszcze zostanie mu cała marka w kieszeni, ale i kłopot, co za nią kupić, gdyż za markę wogóle nic już nie dostanie.

O ile rok 1921 nie będzie lepszy, a na to się bynajmniej nie zanosi, niechaj P. T. Czytelnicy wstępują w ślady kronikarza. Papier drożeje coraz bardziej, za worek takich kartek z końcem roku będzie można uzyskać co najmniej dziesięć marek.

Jest zatem w zupełnym porządku, jeżeli r. 1920 nazwiemy rokiem „kartkowym“. Może być „chleb kartkowy“, „kalendarz kartkowy“... *ergo* może być i „rok kartkowy“.

Rok 1920 był także siódmym z rzędu rokiem wojennym (koniec jego w sierpniu 1921), nasuwa się zatem pytanie, czy wojna światowa będzie „siedmioletnią“, czy też może n i e c o się przedłuży, i zamieni w „trzydziestoletnią“...

Bieda jednak, że na to pytanie odpowiedzieć mógłby chyba prorok, ś. p. *madame de Thebes*, lub jej następczyni pani Fraya czy Faya... Proroków obecnie brak, nieboszczka mówić nie może, żyjąca jakoś nie chce, zostają nam zatem jedynie przypuszczenia, a te każą wnosić, iż nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy mieli drugie, poprawne wydanie wojny trzydziestoletniej Koalicyi na chwałę, a paskarzom na pożytek... Chaos, jaki dzięki jej zarządzeniom zapanował na całym świecie, z dnia na dzień rośnie, a nierówności i tarcia, które miała wygładzać Liga Narodów, także się potęgują, ów bowiem światowy areopag ma zbyt wiele na głowie (choć w skład jego wchodzą przeważnie łysi i z tego powodu pan Paderewski do jej składu się nie nadaje...), brak mu zresztą na załatwienie spraw bieżących czasu. Dopiero po raz pierwszy właściwie zebrała się ona na posiedzenie w Genewie i już się odroczyła do... grudnia 1921. „Czekaj tatka latka, aż kobyłę wilki zjedzą...“ powtarzają sobie politycy i na orzeczenia Ligi nie zważając, załatwiają wszystko na własną rękę, to zaś może doprowadzić do konfliktu zbrojnego, który w rezultacie mógłby opasać cały świat dokoła i nie doczekać się rozstrzygnięcia przed upływem lat jeszcze dwudziestu trzech, aby się „wypełniła“ trzydziestka.

Czekanie na wynik tej wojny ułatwiłoby i uprzyjemniło czekanie na wygraną posiadaczom „milionówek“.

Bo, że wojna może na nowo wybuchnąć i że w danym wypadku ogarnęłaby już naprawdę cały świat, to musi przyznać każdy, choć nie jest politykiem z zawodu, jeżeli sobie zdaje sprawę z obecnej sytuacyi. Niechaj bowiem, dajmy na to, zaatakują Niemcy Francyę, bezpośrednio musi się dobrać do szwabskich hajdawerów sprzymierzona z Francyą Polska, a tej siadają zaraz na kark bolszewicy. Do bolszewików czują Japończycy wielką sympatyę, więc też dalejże na nich, a ze sposobności korzysta Ameryka i spróbuje się rozrachować z Japonią o panowanie na Pacyfiku. Ba, ale w grę wchodzi i Anglia, uważająca się za panią Atlantyku i spoglądająca nieufnie na Stany Zjednoczone.

Skoro zaś sposobność się nadarza, trzeba ją wyzyskać, zwłaszcza, że tu idzie o interes i to pierwszorzędnej wagi. Zatem wojna Anglii ze Stanami Zjednoczonymi, w rezultacie zaś między Anglią i Francyą, gdyż spółka ta nie jest bynajmniej związana pod hasłem „z nieograniczoną poręką“, a Paryż i Londyn patrzą na się stale z nieufnością, datującą się od wieków.

Taki zatem pierścień wojenny otoczyłby całą kulę ziemską, nie mówiąc już o mniejszych państwach, które także staną ze sobą do wojennego kadryla. Rumunia poprosi o *vis-a-vis* Węgry, Czechy Austryę, Jugosławia Włochy i t. d... a Liga Narodów znajdzie się dopiero wtedy w kłopocie, od czego ma zacząć i na czem skończyć... Na samo namyślanie się, mało lat trzydzieści!...

Pierścień wojenny pociągnie za sobą „pasek lichwiarski“, który opasze cały świat, tak wojujący, jako neutralny na „czarnej giełdzie“ koło Spatza, można się też spotkać z oświadczeniem „naszych powag finansowych“, że nic nie stoi na przeszkodzie, aby wojna nanowo wybuchła (choć się jeszcze właściwie nie skończyła...) i trwała, daj Boże, choćby do samego końca świata, który jednak, w danym wypadku, nie mógłby absolutnie być przyspieszonym.

Cierpliwości zatem, a przekonamy się, czy obecna wojna była „siedmioletnią“, czy też będzie „trzydziestoletnią“. Aby sobie uprzyjemnić czekanie, należy kupić „premiówkę“ (kto jej dotąd nie ma...), czekać na wygraną i powrót normalnych stosunków, co przecież bardzo łatwo może nigdy nie nastąpić z powodów zupełnie od Redakcyi niezależnych.

O ile rozchodzi się o nazwę roku 1920, to możnaby go ochrzcić także „paskarskim“, pasek bowiem szalał w najlepsze, a dał się nam we znaki zwłaszcza przy końcu roku, zapewne, aby „uwieńczyć dzieło“...

Ten przydomek dla roku 1920 nie jest przecież odpowiedni, niczem go bowiem nie odróżnia od poprzednich i, nie daj tego Boże... od następnych. Lat paskarskich tyle mamy, ile lat wojny minęło, a co nas czeka w dalszym ciągu, tego jeszcze nie wiemy. Radaby dusza do raju... chcielibyśmy pokoju i normalnych stosunków, ale czy się pragnienia nasze spełnią?...

Kronikarz ma nadzieję, że tak... Rok 1920 jako siódmy z rzędu wojenny, może będzie i ostatnim, a to ze względu na ową biblijną przypowieść o siedmiu latach chudych i tłustych.

Ponieważ nowsze badania biblijne historyę z owemi tłustemi i chudemi krowami przedstawiają w nieco odmiennem, niż dotychczas świetle, pozwolimy sobie przytoczyć ją już choćby tylko dlatego, że między ówczesnymi stosunkami, a obecnymi, dziwna panuje analogia, i dziś dzieje się to samo, co wówczas, niekiedy jednak zmienia się porządek następstwa po sobie wydarzeń.

Zdarzyło się zatem — mówi Biblia — iż Faraonowi, gdy się raz objadł na kolacyę czegoś niestrawnego, przyśniło się w nocy, że widzi siedm tłustych krów, które wyszły z morza. W owym czasie tłuste krowy nie należały do rzadkości, bynajmniej go też nie zdziwiły. Ale w ślad za nimi wyszło z morza znów siedm chudych krów i zjadły owe tłuste... To się już Faraonowi w głowie pomieścić nie mogło, uczono go bowiem w szkole, że krowa nie jest zwierzęciem mięsożernem i żywi się wyłącznie pokarmami roślinnymi. Zaraz rano zajrzał więc do „Sennika egipskiego“, a gdy tam wytłómaczenia nie znalazł, zwołał profesorów uniwersytetu i członków Akademii Umiejętności i wszystkich wogóle mądrych ludzi w Egipcie i kazał sobie wyjaśnić znaczenie snu. To im się jednak nie udało, wobec czego kazał kilku powiesić, a innym dał z miejsca dymisyę.

I odtąd był Faraon bardzo nieszczęśliwy. Owe tłuste i chude krowy chodziły mu stale po głowie, a to chyba do przyjemności nie należy. Chudł też z dnia na dzień coraz bardziej, co niepokoiło szczególniej nadwornego kucharza, który stale, za każdy cal ubytku swego chlebodawcy w pasie dostawał czternaście dni kozy.

Sytuacyę uratowało jednak przypomnienie sobie przez kucharza, że w czasie ostatniego pobytu „pod Telegrafem“, siedział w jednej kaźni z jakimś żydkiem z Palestyny, który miał być odszupasowanym do granicy. Żydek ów wytłómaczył mu wówczas znaczenie snu, jaki miał w nocy. Słowa jego spełniły się co do joty, wyszły także podane przez niego numery, ale nie na „Graz“, na której kucharz postawił, lecz na „Linzu“...

Zawiadomił o tem Faraona, ten zaś kazał natychmiast stawić „wykładacza snów“ przed swoje oblicze. Na szczęście nie odszupasowano go jeszcze, bo i c. k. egipskie władze nie lubiły się spieszyć.

Trząsł biedny Józef, gdy się znalazł przed władcą, ze strachu łydkami i różnemi częściami garderoby, pewny, że wybiła jego ostatnia godzina... Ochłonął, gdy się dowiedział, o co chodzi, wytłómaczył też Faraonowi, że tłuste krowy, to lata dostatku, chude zaś, lata biedy i klęsk, które po nich nastąpią.

Tłómaczenie to spodobało się Faraonowi, miał też w pierwszej chwili zamiar mianować go zwyczajnym profesorem uniwersytetu, przedtem jednak zauważył:

— Co tu począć, abyśmy z głodu nie pomarli?

A Józef na to:

— Jeżeli pan Faraon pozwoli, to ja dam radę!... Teraz, kiedy zboża jest dość, trzeba je kupować, a potem gdy go nie będzie, będzie się je sprzedawać, naturalnie ze zyskiem. Ja się tem mogę zająć, bo handel, to mój fach...

Faraon, który lubił tworzyć nowe urzędy, kreował też wówczas pierwszą „Centralę zbożową“ dla Egiptu, a Józefa zamianował jej dyrektorem.

I stało się, że syn Jakuba prosto z kryminału dostał się na wysokie stanowisko aprowizacyjne, gdy natomiast u nas dzieje się zwykle odwrotnie... Ale temu dziwić się nie można. Zmieniają się ludzie, a z ludźmi i obyczaje...

Pracował więc Józef „Bogu na chwałę a Egiptowi na pożytek“ o sobie samym nie zapominając, a wiodło mu się nie najgorzej, skoro nawet rodzina która go przedtem sprzedała w niewolę, przyznała się do niego. Miał też ogromne szczęście i do kobiet, jak o tem świadczy słynny jego romans z panią jenerałową Putifar.

Koniec końców, przepowiednia Józefa się spełniła, rady jego okazały się zbawienne, egipska „Centrala zbożowa„ odpowiedziała w zupełności zadaniu.

Porównując zatem owe czasy z obecnymi, dochodzimy do przekonania, że teraz dzieje się u nas tak jak w Egipcie, z tą jednak różnicą, że z morza wylazły najpierw krowy chude. Kolej zatem na tłuste, a zadanie mają ułatwione, gdyż mamy bezpośredni dostęp do morza. Oby zatem jak najprędzej morze opuściły i dojechały jeszcze na czas do Warszawy, nie tak jak owe ryby, które, zanim odbyły drogę z Gdańska do stolicy Polski, miały czas się zaśmierdzieć.

Siódmy rok „chudy“ kończy się w dniu 31 lipca br., daj Boże, aby jego następca należał już do „tłustych“... i, aby panowie agraryusze nie powiedzieli, że... żniwa się wprawdzie udały, ale zboża brak, gdyż poszło na pasek...

Kronikarz nie traci nadziei, że „lata tłuste“ są już za progiem i z nadzieją i życzeniem w sercu otwiera Nowy Rok 1921. — Ma on w tytule słowo „pierwszy“, niechaj zatem będzie w samej rzeczy pierwszym w szeregu lat pomyślniejszych, czyli „tłustych“.

Ofiara nauki.

Badania naukowe, pociągające tak uczonych, połączone są niejednokrotnie z wielkiemi dla nich niebezpieczeństwami. Nie zważając na nic, często nawet lekceważąc je sobie, starają się wydrzeć przyrodzie jej tajemnice, a z im większemi połączone to jest trudnościami, tem bardziej zaostrza to ciekawość badacza, pragnącego za każdą ceną dojść do źródła. Niejednokrotnie to przypłaca nawet życiem, co bynajmniej nie odstrasza następców, którzy z wzmożoną jeszcze energią prowadzą dalej dzieło, rozpoczęte przez poprzedników, dopóki nie uda się im doprowadzić je szczęśliwie do końca.

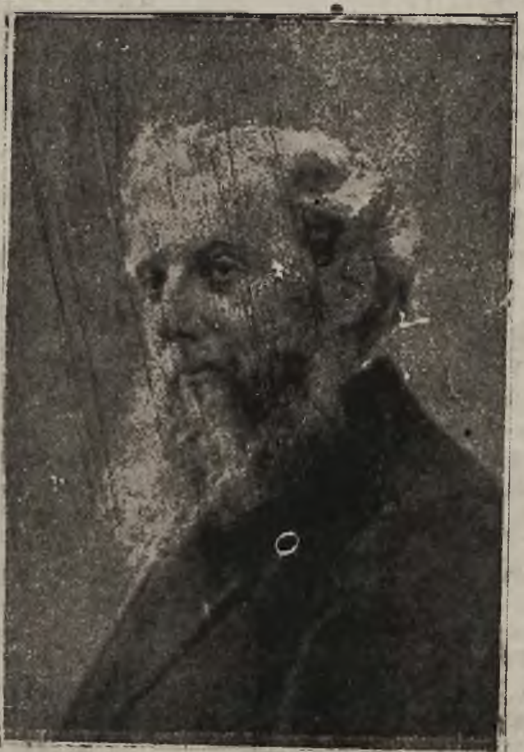
Badania promieni Roentgena pociągnęły za sobą już wiele ofiar, mimo to dokładnie nie są jeszcze zbadane. W medycynie mają one dziś bardzo szerokie zastosowanie, cierpiącej ludzkości oddają ogromne usługi, ale zaprzeczyć się nie da, że na organizm ludzki działają bardzo szkodliwie, a wszelkie usiłowania, aby ujemne skutki ich działania na tkanki usunąć lub przynamniej zmniejszyć, nie wydały dotąd pożądanych rezultatów, choć kosztowały już niejedno życie ludzkie. Zazdrosna przyroda broni się wszelkiemi siłami przed wydarciem jej tajemnicy.

Świeżo padł znowu ofiarą X promieni szef paryskiego laboratoryum roentgenologicznego przy szpitalu *de la Salpêtrière*, Dr Karol Infroit.

Śmierć ta była niestety przewidziana. Ten, który ją poniósł w 46 roku swego życia, widział, jak się zbliżała, uważał ją za pewną, oznaczył prawie datę jej przyjścia i nic nie czynił, aby się od niej uchronić.

Dr Infroit poświęcił się od roku 1898 studyowaniu i praktycznemu zastosowywaniu promieni X. i stał się w tej dziedzinie mistrzem. Ale zielonawe radiacye, pozornie tak niewinne, w istocie rzeczy wywołują straszliwe spustoszenia w tkankach, często wystawionych na ich działania. Palą je, dezorganizują i zatruwają.

I dr Infroit nie mógł uniknąć ich zabójczych skutków. W okresie dziesięciu lat musiał się poddać aż 22 operacyom. Stopniowo stracił sześć palców. W ciągu wojny pracował z wytężeniem, nie wstrzymując pracy ani chwili mimo cierpień, jakim ulegał i 28 czerwca 1920 r. amputowano mu lewą rękę.



Ofiara nauki: Dr Karol Infroit, szef oddziału röntgenologicznego w szpitalu de la Salpetriere w Paryżu.

Sądzono, że wówczas chociaż postanowi nieco odpocząć. Niestety, dr Infroit kazał sobie sporządzić protezę i wziął się do dalszej pracy. Ale siły zabójcze dosięgnęły tym razem samych źródeł życia. Przed miesiącem zawiodły go siły. I wtedy jednak nie chciał porzucić swej pracy i z łoża swego jeszcze kierował nią przez dni kilka, aż wreszcie zasnął na wieki, jako ofiara promieni X., jako bohater nauki i wiedzy.

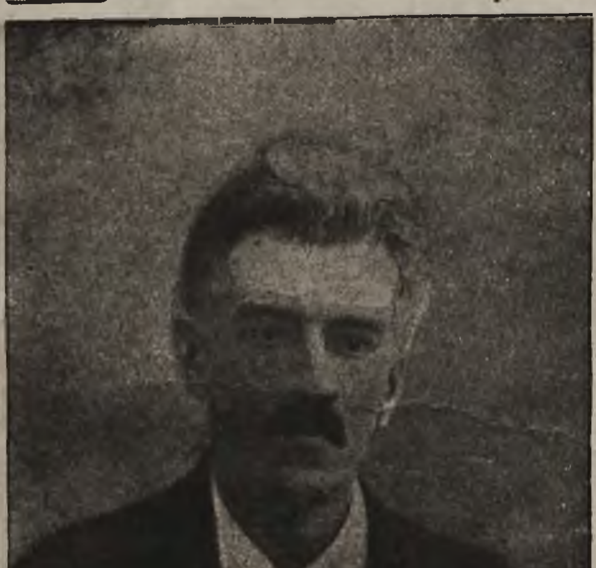
Jego ofiara przyniosła owoce — wydała mnóstwo następców, których zadanie jest już o tyle ułatwione, że na podstawie najnowszych doświadczeń można rurkę z promieniami X. otoczyć ekranem z nieprzepuszczającego ich szkła ołowianego, przez to ochroni się operatora od ich zabójczego działania, polegającego głównie na rozpuszczaniu tkanek tłuszczowych postępującym nawet po ustaniu bezpośredniego ich działania na organizm ludzki.

Od wydawnictwa.

Szanownych P. T. Odbiorców prowincyonalnych prosimy o wyrównanie zaległych rachunków, w przeciwnym razie wstrzymamy wysyłkę.

Z TEATRU.

„Przewodnik tatrzański". — Wodewil Konstantego Krumłowskiego z muzyką Franciszka Koniora.



Z teatru: Konstanty Krumłowski. autor wodewilu „Przewodnik tatrzański".

Krumłowski wnosi na scenę walory swoiste które sztukom jego torują drogę do uznania i długo, trwałego powodzenia wśród szerokich mas. Akcyę zwykle niezbyt skomplikowaną krasi humor o zacięciu satyrycznem i szczery sentyment — sentyment, który przejawia się nie w poetycznych frazesach, ale w samem naszkicowaniu postaci i sytuacyi. I czy to będzie „Królowa przedmieścia" czy „Śluby dębnickie" czy „Białe fartuszki" czy grany obecnie w teatrze „Powszechnym" „Przewodnik tatrzański", — to wiemy odrazu kogo autor lubi, dla kogo pragnie zdobyć sympatyę widzów — choć ulubieńców swych nigdy nie idealizuje i śmiesznostek ich nie kryje.

Tła dla wodewilów swych, nie szuka Krumłowski w hałaśliwej wojennej aktualności, ukochał on przeszłość, — niezbyt wprawdzie odległą — ale zawsze jakieś dwadzieścia lat wstecz sięgającą — i przez to sztuki jego nabierają charakteru zgoła odrębnego.

Wszystkie te właściwe talentowi Krumłowskiego cechy wykazuje „Przewodnik tatrzański", humor, dowcip, sentyment i *sui generis* stylowość. Utwór pokazuje nam Zakopane nie współczesne, ale to dawne z okresu po Chałubińskim i X. Stolarczyka i górali, owianych jeszcze urokiem prymitywnej świeżości.

Nie idealizuje bohatera wodewilu Jędrka Roja, ani jego wybranej góralki Hanki, ale daje im tężyznę, rozmach i szczerość niezepsutych cywilizacyą miejską dzieci natury.

Natomiast postacie „ceprów" szkicowane są ołówkiem karykaturzysty. Zarówno letnicy jak restaurator Dymalski i wcéjy Pajtyka tworzą galeryę kapitalnych humorystycznych figur.

„Przewodnik tatrzański" zyskał nie byle oprawę muzyczną. Prof. Franciszek Konior kompozytor „Seansu" wyposażył go w muzykę melodyjną i prawdziwie wartościową.

Górala Jędrka odtworzył p. Biegalski z temperamentem. Partnerka jego p. Topolska jako Hanka nie miała koniecznego w tej roli rozmachu. Świetną wprost postać Franka Odrzypały dał p. Koszutski, który zbierał także rzęsiste oklaski za śliczne tańce góralskie.

Panie, Kolman, Relewicz, Zelska, i pp. Kalinowski, Jaworski, Kolwas, Magnuszewski i Sarnowski dopełnili udatnego zespołu.

„Przewodnik tatrzański" ma zapewnione powodzenie na czas dłuższy. *Jadwiga Magowa.*



Z teatru: Franciszek Konior kompozytor muzyki do wodewilu „Przewodnik tatrzański".

Kazimierz Bartoszewicz.

Moje wspomnienia bandyckie.

Było to ku końcowi lata 1907 r. Pragnąc choć na parę tygodni zapomnieć o naszej ówczesnej walce stronnictw, o najświętszych zasadach, o liliowej czystości wyborach, żywiąc nadzieję, że choć na krótki czas znajdę się wśród ludzi zwyczajnych, a nie mężów stanu, dźwigających na swych barkach losy ojczyzny — wybrałem się w odwiedziny do moich krewnych, mieszkających w Sandomierskiem.

Dotychczas jeździłem w te okolice od strony Warszawy, tym razem zaś korzystałem z uprzejmości byłych c. k. kolei państwowych galicyjskich, by za umówioną opłatę dostać się do Nadbrzezia, a stamtąd modremi falami Wisły przeprawić się do Sandomierza. Szło mi o poznanie tego starożytnego grodu, który ongi potęgą swych murów rywalizował z Krakowem, w którym Jagiełło odbierał hołd książąt mazowieckich i rozstrzygał sprawy krzyżackie, w którym Długosz tak chętnie przebywał, a który nawet z czasów porozbiorowych posiada bardzo piękne wspomnienia (roku 1809).

Nie będę opisywał moich zachwytów nad szczątkami wielkości Sandomierza. Proza tu nie wystarcza, a w poetycznym aparacie zabrakło mi benzyny. Zresztą urodziłem się w tych czasach, w których na stu drukujących, jeden zaledwie miewał ataki natchnienia. Dziś rzeczy mają się odwrotnie: bibliografia ostatniego roku wykazuje nowych prozaików niecałe dwa tuziny, a nowych poetów cztery kopy z okładem... Gdyby który z nich raczył zwrócić swe poszukujące tematu źrenice ducha na panoramę Sandomierza od strony Galicyi, na kościół św. Jakóba, najpiękniejszy w Polsce zabytek romańskiego stylu, na ratusz, dom Długosza, bramę Opatewską — mógłby śmiało uwić poetyczny wieniec ze strof kilkudziesięciu.

Po tej „wstawce" wracam do rzeczy. Stanąłem w hotelu Podolskim. Sandomierz posiadał wówczas dwa hotele: jeden Polski, w którym nie było nic polskiego, a drugi Podolski, w którym nie było nic podolskiego, ale był rzeczywiście polskim. Polski był jednopiętrowy, Podolski parterowy. Na parterze mieszkać przyjemnie, ale nie zawsze i nie wszędzie. Stąd też, pomimo wrodzonej mi olbrzymiej odwagi, której złożyłem nieraz dowody, walcząc z całemi hufcami „stańczyków" i skoncentrowanych demokratów, poczułem się jakoś nieswojo, widząc, że okno mojego pokoju, wzniesione na półtora metra od ziemi, wychodzi na szeroki gościniec i rodzaj plantacyi. Uczucie moje łatwo zrozumieć, jeżeli się zważy, że były te czasy największego rozwoju w Królestwie bandytyzmu, a hotel wznosił się poza właściwem miastem, obok rozległego ogrodu miejskiego, w dzielnicy mało zabudowanej i zamieszkałej. Za dnia nie zastanawiałem się nad tem, ale wieczorem, powróciwszy z kolacyi, na której słyszałem opowiadania o napadach, nie mogłem się oprzeć pewnemu niepokojowi, zwłaszcza, że w całym hotelu, prócz mnie, starej gospodyni i służącego, nie było żywej duszy. W innych czasach nie zwróciłbym na te uwagi, ale w takich i pod świeżem wrażeniem „okropnych" opowiadań, z przykrością dostrzegłem, że bohaterstwo moje na ciężką wystawione zostało próbę, że się z niem coś niedobrego dziać zaczyna... Ba! gdybym miał przy sobie choć rewolwer, byle mauzerka, lub kilka ręcznych granatów!

Ale co robić? Zaczerpnąłem resztek odwagi, bohatersko spać się położyłem i bohatersko zasnąłem.

Nagle po północy przebudziły mnie straszne jęki, dochodzące z gościńca. Zerwałem się z łoża i bohatersko skoczyłem ku oknu. Nic nie dojrzałem, ciemno było „jak wykol". Ale jęki nie ustawały, owszem rozlegały się coraz głośniej, o jakieś sto, może kroków od hotelu. Żebyż to tylko jęki! Ale od czasu do czasu słychać było jakieś dzikie, okropne krzyki, spazmatyczne wrzaski. W taki sposób krzyczeć i jęczeć może jedynie ktoś, kogo mordują, zarzynają, żywcem krają na kawałki i to tępym nożem.

Po chwili usłyszałem tupot nóg kilku ludzi, biegnących pod moim oknem. Nastąpiła krótka przerwa. Doszły mnie stłumione, gniewne i rozkazujące głosy, ale zaraz po nich wybuchnęła nowa serya jęków i nieludzkiego ryku. Mijały minuty za minutami, końca tej tragedyi nie było. Minęło pół godziny, położenie rzeczy nie zmieniło się. Dopiero po godzinie nastąpiła cisza — i znowu pod mojem oknem usłyszałem ciężki tupot nóg, stąpających już jednak krokiem miarowym.

Nazajutrz pytam się służącego, co to się w nocy działo?

— E, to nic...

— Jakto nic?

— To... jest tu taka stara pijaczka, co robi po nocach awantury, albo śpiewa nieprzyzwoite rzeczy, albo jęczy, krzyczy, ostatniemi słowy pomstuje. Wczoraj zaszła w te strony, a że tu są blisko koszary, więc żołnierze zbudzili się, chcieli ją aresztować. Nie dała się, biła się z nimi, gryzła ich, szarpała...

— Ale w końcu ją aresztowali?

— Nie, sama krzyczeć przestała, bo jej już sił zabrakło...

Tak więc nie udał mi się napad bandycki, który zamierzałem w czarnych barwach drukiem przedstawić p. t.: „Straszna noc w Sandomierzu".

Nadeszły konie. Siadam, jadę. W drodze pytam Jędrka:

— A są u was bandyci?

— E, nie, ino w trzeciej wsi napadli proboszcza, lunął bez okno i uciekli...

Przyjeżdżam. Uściski, całusy. Pokazują mi mój pokój. Odświeżam się, wracam. „Możebyś coś przekąsił", pyta gospodarz. Wchodzi jego zacna matka: „Proszę na kolacyę, już podana"...

I była kolacya taka, jaką można jadać było tylko w Królestwie. Nie wspaniała, ale jaka smaczna — palce lizać! Dalibóg, mało na tę stronę życia zwracam uwagi, ale obawiam się, że zostałbym smakoszem, gdyby mi przyszło „stołować się" na wsi w Królestwie *). U nas baranina to baranina, a tam to sarna. U nas z wołu robią się zwykle pieczenie, kotlety, zrazy, a tam robią się arcydzieła, noszące niesłusznie te same nazwy, bo to są co najmniej nadkotlety, metapieczenie, arcyzrazy. Tam kurczę, to nie zwyczajne kurczę, dziecię koguta i kury, ale... cały poemat. To też podzielam w zupełności uczucia pewnego młodego agronoma, który prosto z Dublan przybywszy do Królestwa na praktykę, na zachęcające zaproszenie dziedziczki: „może pan jeszcze pozwoli kawałek?", odpowiadał stereotypowo: „Pani Dobrodziejko, nie miałbym serca odmawiać sobie tej niebiańskiej rozkoszy"...

Po kolacyi była herbata, a przy herbacie szeroka pogawędka. Opowiadam moją nocną przygodę w Sandomierzu. Śmiało się z niej zacne ciotczysko, śmiała się czupurna Kazia, śmiała pikantna warszawianka Felkowa, śmiały się i męskie gałęzie drzewa familijnego.

— Dobrze wam się śmiać — zauważył gospodarz — ale niestety z każdym dniem wzrasta obawa o mienie i życie. Bandytyzm przybiera zastraszające rozmiary"...

Na ten temat potoczyła się rozmowa. Dowiedziałem się, że w „naszej okolicy" nie jest jeszcze „tak źle", z powodu braku ognisk fabrycznych, ale zaraza i tu się wciska, czego dowodem napad na sąsiednią plebanię. Opowiadano o popełnionych rabunkach i zbrodniach około Skarżyska, Ostrowca, Iłży. Zuchwałość bandytów jest wielka, ponieważ ludność w obawie przed ich zemstą (a mścić się umieją) nie tylko nie pomaga władzy, ale zaciera tropy tych dzikich zwierząt. Wśród szczegółów przytaczanych utkwiło mi w pamięci opowiadanie o jakimś „szlachetnym" bandycie (zapomniałem jego nazwiska) rodzaju Rinaldo-Rinaldiniego. Grabił, mordował, a jednocześnie wymierzał sprawiedliwość. wspomagał biednych. Był do tego stopnia zuchwały, że pojawiał się na odpustach, brał udział w procesyach i pogrzebach, a obecni na nich strażnicy ziemscy, choć go znali, nie ośmielali się go aresztować. Raz dlatego, że miał za pasem cały arsenał broni. a strzelał znakomicie, następnie zaś, ponieważ obawiali się, że posiada w tłumie swoich „podkomendnych" *).

Pod wrażeniem tych opowiadań udałem się na spoczynek.

Około 2 po północy przebudziło mnie głośne ujadanie psów. Przez szczelinę drzwi sąsiedniego pokoju, będącego sypialnią kuzynek, ujrzałem światło i dobiegły mnie stłumione trwożliwe głosy. W drugim pokoju obok coś stuknęło, a za chwilę usłyszałem skrzypnięcie otwieranych drzwi, zgrzyt klucza w przedpokoju i odgłos kroków. Ktoś przebiegł szybko po kamiennym chodniku od ogrodu. Po jakiejś minucie padł strzał w oddali.

Z duszą na ramieniu zapaliłem świecę, usiadłem na łóżku i zastanawiałem się, gdzie ukryć moje kapitały (koło 50 rubli i złotą dwudziestokoronówkę) oraz cenne rodzinne kosztowności (pierścionek i zegarek). Postanowiłem zakopać je w doniczce od kwiatów, ale niestety doniczki nie było, bo wszystkie kwiaty wyniesiono na stopnie gankowe...

Próżno starałem się wpaść na drugi pomysł, równie genialny. Tymczasem psy dalej szczekały z niezachwianym temperamentem. Od strony zabudowań gospodarskich dochodził odgłos rozmowy między grubym basem a piskliwym sopranem...

Nareszcie wszystko się uciszyło. Czasami tylko który z psów warknął, zaskomlił, lub grzecznie zaszczekał, ale znać było, że czyni to nie z potrzeby, lecz z przyzwyczajenia, w poczuciu obowiązku, czy też dla odegnania trapiących go myśli.

W ginaceum nastąpiła również cisza. No, jeżeli kobiety zamikły, to najlepszy dowód, że... temat zupełnie wyczerpany. Widocznie niebezpieczeństwo minęło, spłoszeni bandyci zrzekli się ofenzywy. Odetchnąłem, wróciłem do równowagi, sen mi skleił oczy...

Nazajutrz przy kawie nikt nic nie wspominał o wypadkach nocy. Przypuszczano zapewne, że miałem sen twardy po podróży i o niczem nie wiem — a po co gościa niepokoić? Nie wypadało mi może pytać się, ale ciekawość przemogła...

— To, widzisz — odpowiedział mi gospodarz z uśmiechem, — był cały dramat. Rozpoczął się przed miesiącem, kiedy matce mojej, zawołanej, jak wiesz, gospodyni, skradziono 8 kur z pomiędzy najpiękniejszych, będących jej chlubą przedstawicielek tego rodu. Więc czternastoletniej dziewczynie ze swego kuchennego francymeru kazała sypiać obok kurnika. Zarządzenie wydało błogie owoce — kradzież kur ustała. Dziś w nocy kogut musiał mieć sny nieprzyjemne, bo się zbudził za wcześnie i wiedziony małżeńskiem przywiązaniem, wsadził łeb do kojca. Wsadził, ale wyjąć go nie mógł. Więc się trzepotał, piał, hałasował... Przebudzona dziewczyna, jeszcze wpółsenna, nieprzytomna, zaczęła krzyczeć przeraźliwie. Akompaniowało jej ujadanie psów. Przebudzony wyszedłem na ganek. Matka, która również się przebudziła, otworzyła okno i donośnym głosem zawołała na nocnego stróża. Ten wyjątkowo nie spał, puścił się więc, skąd go krzyk dochodził, a dla postrachu wystrzelił z pistoletu. Zbeształem stróża i dziewczynę... Oto i wszystko.

Dla zaspokojenia ciekawości czytelników o dalszy los osób działających podaję, że kogut po wyjęciu mu łba z kojca odzyskał swobodę ruchów, dziewczynę przeniesiono do innego departamentu, a stróż już odtąd nigdy nie strzelał, nawet wtedy, kiedy złodzieje dwa konie ze stajni wyprowadzili.

*) Oczywiście autor wypowiada tutaj swoje wrażenia ówczesne. Dziś prawdopodobnie i to się popsuło.

**) W miesiąc poźniej wyczytałem w pismach warszawskich, że bandyta ten został zabity w walce z wysłanym w pogoń za nim oddziałem wojska.

Od Wydawnictwa!

ROK 1920., będący XVII. rokiem naszego wydawnictwa, zamykamy z tem wewnętrznem przekonaniem, że należycie wywiązaliśmy się, w miarę możności i panujących obecnie stosunków, z ciążącego na nas zadania. A tem było, jest i będzie i w dalszym ciągu informowanie P. T. Czytelników o najaktualniejszych zdarzeniach, z szczególniejszem uwzględnieniem naszego życia narodowego, dawania lektury zdrowej i pożytecznej.

Że nam się to powiodło, świadczą o tem liczne pisma z uznaniem, jakie stale otrzymujemy. Nie brak wprawdzie i narzekań na różne braki, które i my sami uznajemy i staramy się je o ile możności usunąć, ci jednak, którzy z podobnymi zarzutami występują, widocznie nie zdają sobie z tego sprawy, że pracować nam przychodzi w warunkach zupełnie innych, niż były przedwojenne.

Rok 1920. zawiódł najzupełniej wszelkie nadzieje i oczekiwania. Stosunki nie tylko nie poprawiły się, owszem w ostatnich zwłaszcza czasach tak się pogorszyły, że kraj zdaje się stać nad brzegiem przepaści, od runięcia w którą chyba cud może go uratować. Ta sytuacya odbić się musiała zatem na całem życiu społecznem, więc i prasie w ogólności, w szczególności zaś na tak kosztownem wydawnictwie, jakiem są *Nowości illustrowane*.

Drożyzna najniezbędniejszych artykułów, z których niektóre podskoczyły w cenie nawet i *pięćsetkrotnie*, podwyższenie płac personalu Redakcyi, Administracyi i Zakładów technicznych, zwiększenie opłat kolejowych i pocztowych i t. d. zmusiły nas do podniesienia ceny prenumeraty, czyniliśmy to przecież bardzo oględnie, o tyle tylko, aby pokryć najkonieczniejsze wydatki i nie dopuścić do deficytu.

Przytem odpadła nam bardzo ważna i pokaźna rubryka dochodów: dział inseratowy. Nasi Kupcy i Przemysłowcy wychodzą z założenia, jedni, że nie mają co reklamować, gdyż towaru im brakuje, drudzy, którzy mają go dość na składzie, że się bez tego obejdzie, gdyż Publiczność prosi się, aby jej coś sprzedać.

Praca wydawnicza w tych warunkach, to zadanie bardzo ciężkie, nie opuszczamy przecież rąk i z otuchą w lepszą przyszłość stajemy do dalszej pracy, pewni, że ogół polskiego społeczeństwa nie odmówi nam swego poparcia, jako **jedynej w Polsce aktualnej ilustracyi**, o piętnie wybitnie narodowem. Pracujemy dla dobra społeczeństwa polskiego, nie dla robienia interesu, nie służymy żadnym partyom, mamy też prawo poparcia tego się spodziewać. Rozszerzanie *Nowości illustrowanych* w kołach swych Znajomych, to obowiązek każdego Polaka, któremu dobro polskiej prasy leży na sercu.

My ze swej strony dołożymy wszelkich starań, aby pomimo nadzwyczaj trudnych warunków, *Nowości Illustrowane* mogły stanowić dla Czytelników i nadal pożyteczną i przyjemną rozrywkę. Siódmy rok wojny się kończy. Po siedmiu „chudych“ latach nadejdą może „tłuściejsze“, stosunki się poprawią, a wydawnictwo będzie mieć ułatwione zadanie. Nadzieja lepszej przyszłości dodaje nam otuchy i siły, wyrozumiałość Czytelników dokona reszty. Da Bóg, w niedługim już może czasie wrócą *Nowości Illustrowane* do pierwotnych rozmiarów, poprawi się też i strona techniczna pisma, cierpiąca dziś wiele z powodu fatalnej jakości nabywanych za wprost bajońskie ceny materyałów. W tece redakcyjnej posiadamy kilka bardzo ciekawych powieści, które niewątpliwie zainteresują ogół Czytelników tak żywo, jak obecnie drukowane. Dołożymy też starań, aby dobór materyału aktualnego odpowiadał zawsze jak najdalej posuniętym wymaganiom.

Z otuchą zatem i wiarą w lepszą przyszłość zaczynamy XVIII. rok naszego istnienia.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Trójkąt magiczny.

Ułożył N. N., Warszawa.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach poziomych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy poda ważną datę w roku:

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
■ — — — — —
■ — — — —
■ — — —
■ — —
■ —
■

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz, 2. Miejscowość w Galicyi wschodniej, 3. Rzeka w Polsce, 4. Miara długości (angielska), 5. Znany pierwiastek, 6. Część wozu, 7. Spółgłoska.

Grzebieniówka.

Ułożył B. S., Zielonki.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy poda uroczystość, obchodzoną u nas w tym czasie:

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
— — — — —
— — — — —
— — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Dopływ Wisły, 2. Rzeka w Azyi, 3. Postać biblijna, 4 Strój rzymski 5. Oddział wojska.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył K. K., Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzą życzenie, jakie w dniu wigilijnym nawzajem wymieniamy:

— oba
— pal
— oła
— gor
— zop
— aza
— gar
— ota
— set
— ama
— rał

REBUS.



Zagadka literacka.

Ułożył X. Y., Modlin.

Odgadnąć tytuły utworów podanych pisarzy. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, podadzą tytuł arcydzieła polskiej literatury:

Sienkiewicz ?
Słowacki ?
Witkiewicz ?
Kochanowski ?
Jeż ?
Mickiewicz ?
Prus ?
Jeż ?
Zimorowicz ?
Fredro ?

Zadanie na rozsypane litery.

Ułożył J. Guzdralski, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

c, ę, i, i, i, l, o, e, p, p, s, s, s. w, z.

Zgłoskówka.

Ułożyła H. Majewska, Kraków.

Z każdego wyrazu wyjąć jedną sylabę i ułożyć z nich nazwę uroczystego święta:

Parana, Zaporoże, pieniądze, Poniewież, Zbaraż, powitanie, pociecha, dola.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) A. Gruszeckiego „W c. k. urzędzie“ (powieść), 2) Paczkę papieru listowego (25 arkuszy i tyleż kopert).

Rozwiązanie zagadek z Nru 51.

Logogryf geograficzny: Wieliczka, Isonzo, Lwów, Nansen, Orinoko.

Logogryf spirytystyczny: Gawlik Uri, zez, Iglau. kulig

Okienko: Bosak, sokół, Kałka.

Trójkąt magiczny: Poznań, Oliwa, zeta, Noe, ar, ń.

Kwadrat magiczny: Etna, tael, Nemo. aloe.

Zadanie do uzupełnienia: Soła, toga, Egon, syna, Zola, koło, ogar, woda, sala, Kana. Iran.

Przysłowiówka: Święta Barbara po lodzie, Boże Narodzenie po wodzie.

Zadanie literackie: „Dość, że ważny, i że stempel na nim widzi, Więc szanują przyjaciół, jak pieniądze żydzi“.

(A. Mickiewicz: „Pan Tadeusz“).

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: S. Kohs Biała, J. Weźniak Kraków, M. Sochacka Lwów, J. Ogrodnik Przemyśl, S. Grabowski Wadowice, K. Lipski Wiedeń, W. Lange Toruń, S. Lesicki Warszawa, M. Jasińska Lwów, M. Gross Tarnów M. Waszkiewicz Lwów, K. Radziszewski Warszawa, H. Waligórski Tarnów, M. Kwiatkowska Warszawa, H. Maciejowski Winnica, H. Malinowska Rzeczyce, W. Dutkiewicz Przemyśl, K. Nowak Sambor, Z. Walkowski Rawa, M. Wysocka Jasło, M. Ogibińska Nowy Sącz, A. Dębiński Jasło, H. Samocka Stanisławów, W. Witowska Warszawa, J. Nowak Sandomierz, S. Cichocki Jasło. S. Sokołowski Lwów, J. Jaworski Lwów, J. Martynowicz Lwów, H. Galińska Tarnów, M. Bodziński Kraków, M. Wacyk Lwów, M. Weryński Warszawa, E. Dorowska Warszawa, J. Orzechowski Stryj, J. Wierzbicki Piotrków, K. Grzybowski Kraków, S. Zajączkowski Rzeszów. M. Ostrowska Lwów, K. Zieliński Zalesie, K. Grabski Jasło, J. Jabłoński Lublin, J. Weber Kraków, S Sygowska Rzeszów, J. Martynowicz Kielce, J. Jagodziński Nowy Sącz, J. Walicki Poznań, R. Cielicka Łódź, J. Polek Lwów, S. Nowacki Lwów, M. Mańkowska Warszawa, K. Borkowski Kraków, M. Kozłowski Sambor, J. Kalinowski Poznań, W. Raczyński Kraków, S. Zakrzewski Sandomierz, W. Smiszkiewicz Milówka, M. Zak Kraków.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) M. Sochacka, Lwów (książka), 2) J. Polek, Lwów (papier listowy). Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Karczmarskiego.